



Y IGNACJAŃSKIE DNI MŁODZIEŻY  
W STAREJ WSI

W NUMERZE:

WSPÓLPRACA ZE ŚWIECKIMI  
- WYWIAD Z DYREKTOREM ICED

WYDARZENIA:  
PAWEŁ BROŻYNIAK SJ  
- ŚLADAMI STANISŁAWA KOSTKI  
- Y IGNACJAŃSKIE DNI MŁODZIEŻY

ZBIGNIEW JAŁBRZYKOWSKI SJ  
- CRACOW COLLEGE STORY

FELIETON  
- SPOTKANIE  
- JESZCZE W POLSCE NIE ZGINĘLI

# Nasze Wiadomości JEZUITY



Jezuici  
w Polsce

Październik  
34 (2) 2008

# Spis treści

## Współpraca

- 2 O współpracy z osobami świeckimi...
- 8 Żmiąca – uśmiech na twarzy dziecka
- 10 Historia pewnej biblioteki

## Wydarzenia

- 16 Być rodzicami jezuitę
- 18 Śladami Stanisława Kostki
- 22 Cracow College Story
- 26 Zjednoczona Europa?
- 28 Nie bój się pragnąć!

## Apostolat

- 32 Dom pełen szans
- 34 Powiew Ducha... O Manresie słów kilka

## Duchowość

- 38 O duchowości i ćwiczeniach ignacjańskich

## Magisterka

- 40 Wśród czarnych braci i sióstr w Nowym Jorku

## Felieton

- 42 Spotkanie
- 44 Pomimo wszystko...
- 46 Jeszcze w Polsce nie zginęli

## Sylwetka

- 50 Grzegorz Píramowicz – człowiek idei

## Perła

- 52 Starowiejski Skarb

## Historia

- 56 Ordery Stolicy Apostolskiej



O współpracy  
z osobami  
**2** świeckimi...



o. Paweł Brożyniak SJ

Nie bój się  
**28** pragnąć!



sch. Jaroslav Mudroň SJ

Jeszcze w Polsce  
**46** nie zginęli

# Edytorial



Każdy jezuita w swoim życiu podejmuje wiele zaangażowań o bardzo różnorodnych profilach. Oddając w Państwa ręce kolejny numer „Jezuici – Nasze Wiadomości”, chcieliśmy pokazać właśnie to bogactwo i różnorodność, z jakimi na co dzień stykamy się w naszych zaangażowaniach apostolskich, inicjatywach, które podejmujemy lub w które się włączamy.

Gorąco polecam lekturę wywiadu z dyrektorem Ignacjańskiego Centrum Formacji Duchowej w Gdyni o. Leszkiem Mądrzykiem SJ, w którym nasz rozmówca kładzie nacisk na współpracę osób świeckich w jezuickiej misji. W numerze tym znajdują Państwo

także opisy ważnych wydarzeń, które miały miejsce w mijającym półroczu. Myślę, że na szczególną uwagę zasługują relacje o Pawła Brożyniaka SJ z pielgrzymki śladami Staszka Kostki oraz z V Ignacjańskich Dni Młodzieży. Natomiast Zbyszek Jałbrzykowski SJ w artykule „Cracow College Story” z żartobliwym dystansem opisał letni kurs języka angielskiego, który odbył się w lipcu w krakowskim kolegium. Poza tym uważam Czytelników polecam teksty naszych współbraci ze Słowacji: swoje wrażenia w zetknięciu z Polską dowcipnie i z erudycją opisał Jaroslav Mudroň SJ, a o różnorodności tradycji duchowych i o rekolekcjach ignacjańskich już zdecydowanie poważniej traktuje artykuł Jakuba Garčára SJ. Prezentujemy również Państwu kolejną perłę jezuickiej architektury, tym razem zapraszamy do zapoznania się z bazyliką w Starej Wsi, ważnym miejscem na jezuickiej mapie Polski, które postarał się przybliżyć nam Krzysztof Faltus SJ.

Sądzę, że pośród wielu różnorodnych działów i tematów poruszanych w niniejszym numerze każdy z Państwa znajdzie dla siebie coś interesującego.

Życzę miłej lektury!

Mateusz Konopiński SJ

ŚWIECCY ANGAŻUJĄ SIĘ W PROWADZENIE REKOLEKCJI IGNA-  
CJAŃSKICH POPRZEZ KIEROWNICTWO DUCHOWE; TRAKTUJĄ TO  
JAK SWOJE WŁASNE DZIEŁO

# O współpracy z osobami świeckimi...

z o. Leszkiem Mądrykiem SJ rozmawia Marek Rosłoń SJ



foto. Marek Rosłoń SJ

---

Jestem przekonany, że nasze domy rekolekcyjne czynią coś bardzo ważnego. Pomagają wielu chrześcijanom głębiej się formować i odkrywać swoje życiowe powołanie, a w nim również powołanie do apostołstwa

---

**Ojciec Leszku, od trzech lat jest Ojciec rektorem Kolegium w Gdyni, a od roku również dyrektorem Ignacjańskiego Centrum Formacji Duchowej. Jak to się stało, że jezuici znaleźli się w Gdyni?**

Jezuici w Gdyni pracują już od ponad siedemdziesięciu lat. Przybyli tutaj z zamiarem prowadzenia szkoły. Było to jednak możliwe tylko przez dwa lata przed wojną i dwa lata po wojnie. Potem tutaj

na wzgórzu mieszkała mała wspólnota i prowadzona była praca parafialna. Prowadzenie szkoły mogliśmy kontynuować dopiero od 1994 r.

**Czyli na początku nie było planów budowania tak dużego ośrodka z domem rekolekcyjnym...**

Na początku, to znaczy przed wojną, rzeczywiście nie było. Ale też wtedy mniej



była znana praktyka udzielania rekolekcji ignacjańskich osobom świeckim. Natomiast w 1981 r. została podjęta decyzja o przeniesieniu naszego nowicjatu z Kalisza do Gdyni i wtedy rozpoczęto też przygotowania do budowy nowego kolegium. Także wtedy pojawił pomysł, żeby wybudować dom rekolekcyjny. Mimo, że jezuiti na świecie prowadzili już wiele domów rekolekcyjnych i centrów duchowości, nasza prowincja – czyli Wielkopolsko-Mazowiecka – nie prowadziła żadnego, bo w czasach komunizmu było to zabronione.

### **I obydwa pomysły zostały zrealizowane.**

To prawda. W 1987 roku został przeniesiony nowicjat do Gdyni, a od 1990 rozpoczął działalność nowy dom rekolekcyjny i powołane przy nim Ignacjańskie Centrum Formacji Duchowej (ICFD).

### **To musiało być duże wydarzenie, pamięta je Ojciec?**

Byłem wtedy neoprezbiterem i pamiętam, że w całym Towarzystwie obchodzony był Rok Jubileuszowy – 450 lat od zatwierdzenia zakonu i 500-lecie urodzin św. Ignacego z Loyoli. W tym kontekście otwarcie nowego domu rekolekcyjnego (od kilku lat działał już dom rekolekcyjny w Kaliszu) rzeczywiście było czymś ważnym. Przecież udzielanie rekolekcji ignacjańskich to jedna z najbardziej charakterystycznych form naszej działalności.

### **Jakie były początki?**

Trzeba przyznać, że dość intensywne. Pierwszym dyrektorem ICFD był o. Aleksander Jacyniak SJ. Ci, którzy go znają, wiedzą, że jest on odważnym człowiekiem, dobrym szczególnie do „przecierania szlaków”. Podczas swoich studiów w Rzymie poznawał on włoskie i hiszpańskie domy rekolekcyjne. Ja zaś byłem wtedy

socjuszem magistra nowicjatu, a w domu rekolekcyjnym pracowałem „na pół etatu”.

Od początku było sporo propozycji rekolekcji ignacjańskich i sesji formacyjnych, od razu zaczęły się też odbywać spotkania małżeńskie. Dom stał się ponadto przestrzenią dla innych grup religijnych. Można powiedzieć, że wtedy w Polsce zaczynało się swego rodzaju przebudzenie duchowe. Wiele osób chciało odprawiać rekolekcje ignacjańskie, które przecież są formą dosyć wymagającą: intensywna modlitwa w całkowitym milczeniu i obowiązkowe rozmowy z kierownikiem duchowym.

### **No właśnie. Rozumiem, że to zainteresowanie, a także bogactwo oferty, wymagało dość dużego zespołu pracowników. Domy rekolekcyjne są takimi dziełami, gdzie bardzo wiele czerpiemy z pomocy osób świeckich. Czy tak było też od początku istnienia ośrodka w Gdyni?**

Tak. Od początku było jasne, że potrzebujemy współpracowników. Trzeba wziąć pod uwagę, że mimo iż rekolekcje odprawiają księża i osoby zakonne, to większość stanowią osoby świeckie. Szczególnie jest to widoczne w Polsce. Z szerokiego grona rekolektantów stopniowo powstawała grupa osób świeckich i duchownych, którzy najpierw sami przeszli całe Ćwiczenia (czyli cztery tygodnie), a potem zaczęli się przygotowywać do posługi innym. Obecnie w stałej ekipie ICFD jest trzech jezuitów i jedna siostra ze Zgromadzenia Sacré Coeur, które rozpoczęło współpracę z tym domem już w 1992 r. Na stałe współpracuje z nami kilkunastu jezuitów – ojców i scholastyków, którzy są zaangażowani w innych dziełach, ale w miarę swoich możliwości czasowych nas wspierają. Także na stałe, zwłaszcza w okresie wakacyjnym, pomaga nam ponad 30 osób świeckich. Kilkoro z nich przyjeżdża do Gdyni prawie od początku działalności

tego ośrodka. Pomagają oni tutaj w Gdyni, a także w innych ośrodkach prowadzonych przez jezuitów. A przypomnę, że jezuiti w obu polskich prowincjach prowadzą domy rekolekcyjne w Czechowicach-Dziedzicach, Częstochowie, Gdyni, Kaliszu, Warszawie-Falenicy i w Zakopanem.

**Co jest motywem podejmowania współpracy z osobami świeckimi w domu rekolekcyjnym? Czy tylko to, że z uwagi na zmniejszającą się liczbę jezuitów, jesteśmy w takiej konieczności, czy może jest w tym jakieś większe dobro, które chcemy realizować?**

Św. Ignacy napisał większą część *Ćwiczeń Duchowych* gdy sam był jeszcze człowiekiem świeckim. Od razu też zaczął

udzielać tych ćwiczeń innym – co zresztą naraziło go na kilka procesów przed *trybunałem inkwizycji*. W swej książeczce zawarł najważniejsze elementy z własnego doświadczenia duchowego, z tego, jak Pan Bóg go prowadził i kształtował. Nie jest to książeczka do czytania, lecz zbiór wskazówek dla tego, „który udziela rekolekcji i tego, który je odprawia”. *Ćwiczenia* zostały zatwierdzone w 1548 r. przez papieża Pawła III. W swoim liście papież zaznaczył, że te rekolekcje są przeznaczone dla osób duchownych i świeckich, kobiet i mężczyzn, którzy przy ich pomocy chcą pozwolić Bogu, aby ich „duchowo kształtował”. Biorąc pod uwagę kontekst szesnastego wieku, to było bardzo wymowne, wręcz nowatorskie. I rzeczywiście *Ćwiczenia* duchowe, czyli rekolekcje ignacjańskie,



od początku stały się podstawą życia duchowego najpierw dla jezuitów (ponieważ w nich jest zawarta istota naszego charyzmatu), ale także dla innych osób zakonnych, duchownych i świeckich.

Myszę, że warto tutaj zauważyć, że żyjemy w czasach, w których Kościół, zainspirowany duchem Soboru Watykańskiego II, ponownie odkrywa różnorodność powołań, a wśród nich także powołanie osoby świeckiej. Jestem przekonany, że nasze domy rekolekcyjne w tym względzie czynią coś bardzo ważnego. Pomagają wielu chrześcijanom głębiej się formować i odkrywać swoje życiowe powołanie, a w nim również powołanie do apostołstwa. I to jest motyw przewodni współpracy. Ale oczywiście, aby posługiwać tak wielu osobom przyjeżdżającym na rekolekcje – zwłaszcza w okresie wakacyjnym – stała ekipa potrzebuje pomocy. Świeccy współpracownicy są powodem szczególnej radości. Oni angażują się w tę pracę nierzadko kosztem własnego wakacyjnego odpoczynku. Są to osoby, które same doświadczyły, co rekolekcje wniosły w ich życie, ile Pan Bóg dla nich uczynił i nie chcą zachowywać tego tylko dla siebie. To bardzo ciekawe, jak świecki chrześcijanin mówi na konferencji np. o roli rachunku sumienia. Pod pewnymi względami jest bardziej przekonujący od księdza, bo jest świadkiem, jak w życiu człowieka świeckiego jest to ważne i możliwe. Pamiętam też jak przed kilkoma miesiącami w czasie rekolekcji towarzyszyła pewna kobieta, która żyje w małżeństwie i wychowuje z mężem kilkoro dzieci. Kobiety, które z nią rozmawiały, już przez sam fakt spotykania się z nią każdego dnia, dotyczyły w sobie takich obszarów jak kobiecość, macierzyństwo itd. W rozmowie z księdzem mogłoby to nie pojawić się w taki sam sposób. Oczywiście w towarzystwie rekolekcyjnym każdy, kto posługuje, doświadcza też tego, że dając swój czas, uwa-

gę i wrażliwość rekolektantom, dużo od nich też otrzymuje. Stąd nasi współpracownicy pod koniec rekolekcji tak często mówią, jak dużo otrzymali m.in. przez słuchanie innych.

Cieszy mnie także to, że w naszą pracę włącza się też grupa jezuitów, którzy w ciągu roku są zaangażowani w inne apostołstwo. Dawanie Ćwiczeń jest przecież dla nas szczególnie charakterystyczne.

---

**Żyjemy w czasach, w których Kościół, zainspirowany duchem Soboru Watykańskiego II, ponownie odkrywa różnorodność powołań, a wśród nich także powołanie osoby świeckiej. Jestem przekonany, że nasze domy rekolekcyjne w tym względzie czynią coś bardzo ważnego**

---

**Jak konkretnie wygląda współpraca z osobami świeckimi w ICFD w Gdyni?**

Nasi współpracownicy w trakcie rekolekcji są zaangażowani przede wszystkim w towarzystwo duchowe, czyli codzienne rozmowy z rekolektantami. Na miarę możliwości pomagają także w prowadzeniu konferencji oraz wspomagają stałą

ekipę w sprawach organizacyjnych. To, co jednak jest szczególnie ważne, to sama ich obecność i wszystko, co poprzez tę obecność wnoszą. Wyczuwa się, że udzielanie rekolekcji ignacjańskich wielu z nich traktuje jako także „swoje dzieło”.

**Poza samymi rekolekcjami w ICFD odbywa się też wiele różnego rodzaju sesji: o akceptacji siebie, treningi komunikacji, spotkania dla narzeczonych, spotkania małżeńskie... Jak wygląda współpraca w tych obszarach?**

Rekolekcje są rzeczywiście tylko częścią – choć dla nas najważniejszą – szerszej oferty. Sesje psychologiczne: „Poznanie i akceptacja siebie”, „Radzenie sobie ze stresem” i inne prowadzą nasi współpracownicy ze Stowarzyszenia Psychologów Chrześcijańskich w Trójmieście. „Spotkania Małżeńskie” oraz w ostatnich latach tzw. rekolekcje dla narzeczonych, czyli kurs przedmałżeński, prowadzą małżeństwa. Zresztą, ten rodzaj spotkań – dla małżonków i dla narzeczonych – opiera się właściwie na gronie par małżeńskich, czyli animatorów, oczywiście, jeden z jezuitów jest zawsze w taki weekend zaangażowany i wspiera małżeństwa. Nasza praktyka pokazuje, jak bardzo te spotkania, w takiej właśnie formule, są dzisiaj potrzebne.

**To znaczy... na czym ta formuła polega?**

Mam na myśli to, że małżonkowie czy narzeczeni spędzają weekend i uczestniczą w różnych zajęciach – konferencjach i warsztatach – mieszkając w naszym domu. Mają czas i miejsce na myślenie o sobie, swoich relacjach, problemach, na przepracowanie trudności. To jest intensywna praca, którą dużo trudniej byłoby wykonać w trybie np. przychodzenia raz w tygodniu na dwie godziny.

**Pomoc w przeżywaniu rekolekcji lub pracy nad osobistymi trudnościami uczestników warsztatów wymaga nie tylko dobrej woli, ale też przygotowania i ciągłego doskonalenia. Jaka jest oferta wsparcia, mam na myśli rekolekcje lub szkolenia, dla współpracowników ICFD?**

Osobista formacja w każdej posłudze ma duże znaczenie. Najpierw trzeba samemu przejść owocnie rekolekcyjną drogę, czyli pozwolić, aby Pan Bóg nas kształtował. Oprócz tego pożyteczna jest formacja intelektualna, stąd niektórzy doksztalają się od strony teologicznej i psychologicznej; czy to poprzez studia, czy udział w sesjach. Już od kilkunastu lat, zazwyczaj w lutym, odbywa się w ICFD sesja dla współpracowników naszych domów. Podobne warsztaty prowadzi też Centrum w Częstochowie. Te sesje poświęcone są pogłębianiu rozumienia dynamiki ćwiczeń św. Ignacego i uczeniu się sztuki towarzyszenia duchowego. Również dla par prowadzących „Spotkania Małżeńskie” staramy się organizować konieczną formację. Zresztą wielu naszych współpracowników świeckich to osoby należące do różnych ruchów czy grup parafialnych, w których korzystają oni także z proponowanej formacji.

**Bardzo dziękuję za tę rozmowę. Czy jest coś jeszcze, co chciałby Ojciec dodać na koniec?**

Może zakończę nawiązaniem do 35. Kongregacji Generalnej TJ, w której miałem okazję uczestniczyć i podczas której ważnym tematem była właśnie współpraca z osobami świeckim. Jestem przekonany, że mimo wielu nowych wyzwań, przed którymi stoimy, jako polscy jezuita mamy też wiele powodów do radości i satysfakcji w tej dziedzinie. ■



# Aby zerwać z przeciętnością



for Adam Przewoźnik

## Szkoła Kontaktu z Bogiem



**Rekolekcje w milczeniu  
dla młodzieży**

[www.jezuici.pl/szkola](http://www.jezuici.pl/szkola)

# Żmiąca – uśmiech na twarzy dziecka

o. Jan Gruszka SJ



foto. Tomasz Olieruacz SJ

Smutne twarze dzieci to zwykle wpływ mediów, które prezentują je jako zdjęcie roku lub jako ilustracja relacji z któregoś ogarniętego wojną kraju Afryki. U nas dyskutuje się raczej o tym, czy maluchy mają iść do szkoły w wieku 6 lat, kiedy zarezerwować lokal na przyjęcie komunijne czy też jak czynić szkołę przyjazną dziecku itp. Rodzice robią wszystko, aby ich dzieci nie doświadczały tych braków, jakich oni sami doświadczali. Inne sprawy są zbyt daleko, aby zaprzętać nimi umysł.

I tak oto mamy z jednej strony, i to wcale nierzadko, wszystko mające i rozpasane do granic bezczelności latorośle, a na drugim biegunie są w naszym kochanym kraju

dzieci, którym brak rzeczy najważniejszej, czyli miłości. W konkretnie przekłada się to na brak rodziców lub ich przygotowanie do pełnienia funkcji rodzicielskich. Gdy sytuacja staje się alarmująca, oby nie za późno, dzieci takie trafiają do miejsca, gdzie są przede wszystkim bezpieczne, nakarmione, otoczone życzliwością i miłością.

Takim miejscem jest Żmiąca. Od 25 lat do Żmiącej i od 10 lat do Krakowa na Rajską trafiają dzieci, dla których zabrakło ciepła w domu rodzinnym. Tutaj trafiają sieroty naturalne, społeczne, dzieci porzucone, dzieci z rodzin patologicznych, rozbitych, zagrożonych, zaniedbanych itp. Obydwa te miejsca łączy wspólne zadanie: przywraca-

nie uśmiechu na twarzy dziecka. W ciągu tych lat konieczne było dostosowanie się nie tylko do potrzeb, ale i wymagań, jakie muszą spełnić prowadzący tego typu działalność. Dzisiaj dokonuje się to w ramach „Dzieła Pomocy Dzieciom – Fundacja Ruperta Mayera” i działa poprzez trzy ośrodki:

1. ośrodek opiekuńczo-wychowawczy;
2. ośrodek adopcyjno-opiekuńczy;
3. pogotowie interwencyjne.

Organem założycielskim i prowadzącym dzieło są jezuiti.

Dzieło Pomocy Dzieciom przeprowadziło ponad 400 adopcji. Obecnie mamy pod opieką ponad 120 dzieci w rodzinach zastępczych. Są to rodziny, gdzie obowiązki rodziców przejęli dziadkowie lub ktoś z najbliższej rodziny. W ciągu roku stale przebywa w naszych ośrodkach 60 dzieci.

Od lat już w ramach Akcji Wakacyjnej w naszym ośrodku w Żmiącej mają zapewnione wakacje dzieci z rodzin zastępczych. Oznacza to wzrost liczby dzieci do 100 i więcej oraz około 40 wolontariuszy.

Od roku 2007 w Uroczystość Zesłania Ducha Świętego na specjalnym święcie spotykają się w Żmiącej dzieci i ich przyjaciele. Uroczystość gromadzi dzieci z naszych ośrodków, dzieci z rodzin zastępczych oraz te, które swoimi występami uświetniają ten dzień. W tym dniu są tu z nami nasi przyjaciele i dobroczyńcy, członkowie Fundacji Ruperta Mayera, którym chcemy wyrazić wdzięczność za okazaną pomoc i serce. Spotkaniem tym chcemy też zaprosić innych do wspólnego działania na rzecz dzieci. Jest to także szansa do poznania naszych dzieci i zobaczenia, gdzie i jak mieszkają. Ten dzień pokazuje także, jak jest nas wielu, jak wrażliwość na krzywdę dzieci wyzwala siły do działania. Takie spotkanie dodatkowo umacnia, gdy widzimy innych, którzy podzielają nasze myślenie i łączą się w działaniu.

Dzieło Pomocy Dzieciom to przykład współpracy Kościoła, ludzi świeckich i samorządu. Każdy jest tu potrzebny i ma swoją misję do spełnienia. Codzienna,

zwykła praca jest fundamentem sukcesu, który wyraża się w udanym życiu każdego dziecka, które tutaj trafia. Jakaż to radość, gdy po latach przyjeżdża młody chłopak czy dziewczyna i oświadcza, że chce w czasie wakacji popracować jako wolontariusz/ka, by w ten sposób niejako „spłacić” dług wdzięczności za to, co sam/a otrzymał/a. Takie „powroty” to kapitalne doświadczenie i jakiś dodatkowy zastrzyk energii do działania.

Dzieło Pomocy Dzieciom działa we współpracy z Miastem Kraków, realizując zadania społeczne w oparciu o ogłaszane przez Miasto kontrakty. Poza środkami z MOPS-u w Krakowie, rokrocznie konieczne jest dofinansowanie w wysokości prawie 400 tysięcy zł. Aby podołać tym wymaganiom, w roku 1993 została powołana Fundacja Ruperta Mayera, której zadaniem jest pomoc dzieciom, a w szczególności wspieranie ośrodków w Żmiącej i w Krakowie, przy ul. Rajskiej. Dzieło istnieje i rozwija się dzięki pomocy wielu osób i instytucji tak z kraju, jak i spoza Polski.

Od dwóch lat Dzieło Pomocy Dzieciom – Fundacja Ruperta Mayera jest organizacją pożytku publicznego zarejestrowaną pod numerem KRS 0000095631. Umożliwia to przekazywanie na rzecz dzieci środków, w postaci 1% podatku przy dorocznym rozliczeniu z fiskusem.

Korzystając z okazji, wszystkim Przyjaciołom Żmiącej, do których mogę dotrzeć za pomocą tego rocznika, składam szczerze podziękowanie za wszelkie dobro okazane naszym dzieciom. ■

---

**Dzieło Pomocy Dzieciom**  
**Fundacja Ruperta Mayera**

31-124 Kraków, ul. Rajska 10

nr konta:

72 1020 2892 0000 5102 0169 7192

---



BIBLIOTEKA JEST INSTYTUCJĄ, KTÓRA SAMYM SWYM ISTNIENIEM ŚWIADCZY O ROZWOJU KULTURY

JAN PAWEŁ II

# Historia pewnej biblioteki

sch. Kamil Hewelt SJ



foto. Zbigniew Jabrzykowski SJ

W książkach jest spisana cała ludzka wiedza. Bez nich rozwój nauki byłby mocno utrudniony. Jedni zajmują się pisaniem, inni rozkoszują się gotowym dziełem, ale są też tacy, którzy poświęcają swój czas na kompletowanie i katalogowanie ksiąg, aby inni mieli łatwiejszy dostęp do bogactwa zapisanego na tych stronicach. 11 czerwca 1999 roku w Warszawie Jan Paweł II powiedział: „Biblioteka jest instytucją, która samym swym istnieniem świadczy o rozwoju kultury. Jest ona bowiem skarbnicą piśmiennictwa, przez które człowiek wyraża swój zamysł twórczy, inteligencję, znajomość świata i ludzi, a także umiejętność panowania nad sobą, osobistego poświęcenia, solidarności i pracy dla rozwoju dobra wspólnego”.

Pierwsza jezuicka biblioteka naukowa zaczęła powstawać w Krakowie, gdy nasza placówka przy kościele św. Barbary przyjęła charakter naukowy dzięki przekształceniu rezydencji w dom profesów w roku 1591. Wtedy też zaczęto gromadzić bibliotekę, na którą składały się książki zakupione oraz otrzymane w darze. Dzięki obecności w tym domu tak znanych pisarzy jezuickich jak: Jakub Wujek, Piotr Skarga, Marcin Larterna, Antoni Possewina udało się zgromadzić wszystkie ich publikacje. Biblioteka posiadała również wiele ksiąg zakazanych, ale potrzebnych w polemice prowadzonej z innowiercami i wrogami zakonu. Korzystano z nich na mocy przywileju papieskiego. Znajdowały się tam też archiwa prowincji. Część, która została przeniesio-



na do Jarosławia po rozdzieleniu prowincji polskiej na wielkopolską i małopolską, ocalała, ale dokumenty znajdujące się w Krakowie, po kasacie w większości uległy zniszczeniu. Po likwidacji placówki zbiory druków i rękopisów przeniesiono do kolegium św. Piotra.

Największą ilość woluminów z domów jezuickich w Krakowie posiadało kolegium św. Piotra. Erygowane zostało przez Zygmunta III w 1595 roku jako dom profesów, a kolegium stało się w 1621 r. Jako fakultet teologiczny posiadało bardzo bogate zbiory, z których część zakupiono, jednak większość otrzymano w darze. Niestety pożar, jaki wybuchł w 1719 roku, zniszczył zarówno książki w magazynie głównym, jak i prywatne, przechowywane w pokojach. Zaraz po odbudowie w roku 1721 rozpoczęto ponowne kompletowanie zbioru.

Trzecia biblioteka jezuicka w Krakowie mieściła się przy kościele św. Szczepana, gdzie w latach 1585-1773 mieścił się nowicjat. Trzon księgozbioru stanowiła literatura ascetyczna, która pomagała nowicjuszom we wzroście duchowym. Znajdowało się tam również wiele ksiąg

z innych dyscyplin. W chwili kasaty biblioteka liczyła ok. 12000 pozycji.

Końcem tych bibliotek była kasata Towarzystwa Jezusowego na mocy brewe Dominus Ac Redemptor [łac. Pan i Odkupiciel], wydanego 21 lipca 1773 r. przez papieża Klemensa XIV. Konsekwencją tego było przejęcie całego majątku pojezuickiego przez władzę świecką. Książki z opisanych wyżej bibliotek zgromadzono razem w kolegium św. Piotra, gdzie zajęła je powstała na miejsce szkół jezuickich Komisja Edukacji Narodowej. Nadzór nad tymi książkami przez pewien czas sprawował Hugo Kołłątaj. Pisał, że książki te, po odebraniu ich jezuitom, były przechowywane w bardzo złych warunkach. Dużą ich część rozkradziono i sprzedano. Cenne pozycje, które się ostały, włączono do biblioteki Akademii Krakowskiej, a resztę oddano na przemiał.

Gdy w 1867 r. jezuici wrócili do Krakowa, aby założyć studia teologiczne, a od roku 1926 filozoficzne, to oczywiste było, że musi powstać przy nich biblioteka naukowa. Początkowo w jej skład wchodziły podręczniki z zakresu teologii, czyli głównie



foto. Zbigniew Jabrzykowski SJ

z prawa kanonicznego, historii Kościoła i Pisma Świętego. Książki kupowano, ale też sprowadzono z innych domów zakonnych: z Nowego Sącza, Śremu, Starej Wsi, Tarnowa, Lwowa oraz z dawnej biblioteki tynieckich benedyktynów. Biblioteka otrzymała nazwę Bibliotheca Stud. Theologiae Prov. Galicianae Societatis Iesu. Od 1902 r. mieściła się bezpośrednio nad kaplicą domową na II piętrze, a po remoncie w 1904 r. przeniesiono ją o piętro wyżej. W 1925 r. liczyła ona ponad 20000 książek, ułożonych według sygnatur liczbowych. Mimo niedługiego czasu istnienia dorobiła się ok. 3000 starodruków oraz 7 inkunabułów. Gdy jezuici otworzyli swój fakultet teologiczny „Bobolanum” w Lublinie, przewieziono tam w 1926 roku księgozbiór teologiczny, który w roku 1964 trafił do Warszawy, gdzie obecnie istnieje pod nazwą Biblioteka Wydziału Teologicznego „Bobolanum”. W jej miejsce powstała Biblioteka Filozoficzna, która wraz z Biblioteką Pisarzy istnieje po dzień dzisiejszy. Przeniesiona została do Krakowa z Nowego Sącza wraz z Wydziałem Filozoficznym. Początkowo zawierała niecałe 10000 pozycji, a do wybuchu II wojny światowej wzrosła o kilkanaście tysięcy woluminów.

Zanim opiszę czasy wojenne, warto wspomnieć jeszcze o zbiorach znajdujących się w Bibliotece Pisarzy oraz w Bibliotece Prowincji. Pierwsza z nich powstała na potrzeby pierwszego katolickiego wydawnictwa – Wydawnictwa Apostolstwa Modlitwy. Pierwsze czasopismo zostało tu wydane w styczniu 1872 r., a sam księgozbiór Bibliotheca Scriptorum Societatis Iesu powstał po 1880 r. Zawierała encyklopedie, słowniki, księgi teologiczne, filozoficzne, historyczne i wiele innych. Część biblioteki początkowo mieściła się w budynku przy ulicy Grodzkiej (1896-1902), a po rozbudowie kolegium w latach 1902-1904 przeniesiona została do kolegium przy ulicy Kopernika 26. Od 1903 roku mieściła się nad kaplicą domową. W 1910 r. liczyła ponad 10000 woluminów, które układano według działów, oznaczając je kolejnymi literami alfabetu, a poddziały numerami

rzymskimi. W 1936 roku po utworzeniu w Warszawie Wydawnictwa Księży Jezuitów oraz przeniesieniu tam redakcji między innymi „Przeglądu”, a z nią wielu książek z biblioteki i czytelnicy. Zaraz po tym przystąpiono do ponownego uzupełniania zbioru o słowniki i encyklopedie. W 1939 roku skompletowano dobrze wyposażoną bibliotekę naukową liczącą ok. 20000 książek i wiele tytułów czasopism.

Centralna Biblioteka Prowincji Małopolskiej Towarzystwa Jezusowego została zapoczątkowana przez o. Stanisława Bednarskiego SJ. Uznał on, że księgozbiory dawnych druków powinny być niezależne od studiów zakonnych. Jego obawy o utratę ich na rzecz studiów były o tyle uzasadnione, że w 1926 r., po przeniesieniu do Lublina Biblioteki Teologicznej, prowincja utraciła wiele cennych pozycji. Od 1929 r. gromadzono więc starodruki na zasadzie depozytu (książka jest nadal własnością domu, który ją ofiarował) ze wszystkich domów oprócz Chyrowa. Stanowiło ją prawie 20000 druków (30000 tomów). Znajdowały się tutaj książki z dawnych domów jezuickich z Austrii, Lwowa, Tarnopola, Nowego Sącza i Rezydencji św. Barbary.

Wybuch II wojny światowej co prawda nadzarpnął zbiory jezuickich bibliotek w Krakowie, lecz wiele z ksiąg udało się uratować. Księgozbiór kolegium przetrwał wojnę w piwnicy pod bazyliką, ale niestety część książek została zabrana przez Niemców. Po odzyskaniu części pomieszczeń kolegium, osuszono i przeniesiono tam Bibliotekę Filozoficzną oraz Bibliotekę Pisarzy. Pomimo represji ze strony komunistów, polegających między innymi na konfiskacie książek nadsyłanych z zagranicy, zajęciu części kolegium, rewizji i konfiskacie książek, biblioteka nadal się rozwijała. Warto wspomnieć o ojcu Czesławie Michalunio SJ, który pracuje w bibliotece od 1955 r. Najpierw był jej dyrektorem, a obecnie pomimo zaawansowanego wieku, biblioteka nadal korzysta z jego ofiarnej pracy. Zatrudnił on w bibliotece osoby świeckie oraz siostry zakonne. Wprowadził nowoczesne metody katalogowania książek, przygotował nowy

katalog alfabetyczny i rzeczowy oraz zaczął komputerowo katalogować książki.

W latach 1983-1988 dzięki pomocy innych prowincji wzniesiono budynek, gdzie mieściła się Biblioteka i Dom Pisarzy oraz przeniesiona tam Biblioteka Prowincji. Biblioteka liczyła wtedy około 60000 woluminów. Kilka lat później do tegoż budynku przeniesiono również Bibliotekę Filozoficzną. W ten sposób powstał zespół bibliotek, który nazwano Biblioteką Naukową Księży Jezuitów. Nie oznacza to wcale, że działy uległy połączeniu – nadal są autonomiczne, jeśli chodzi o gromadzenie i opracowanie zbiorów. Od czasu przeniesienia do innego budynku, dzięki włączeniu do zbiorów książek z zagranicznych prowincji oraz polskich, zwiększyła się liczba woluminów.

Na początku obecnego stulecia wybudowano budynek, w którego dolnej części mieści się Wydawnictwo WAM, a w gór-

nych pomieszczeniach czytelnia i magazyn Biblioteki Naukowej Księży Jezuitów.

Biblioteka posiada wiele cennych mikrofilmów z archiwum prowincji, pierwsze wydanie Biblii w tłumaczeniu Jakuba Wujka oraz inne rzadkie egzemplarze, które nie są ogólnodostępne. Naukowcy i studenci mogą jednak korzystać z innych książek, udostępnianych w czytelni głównej. Księgozbiór obu bibliotek liczy obecnie około 400000 egzemplarzy i wzrasta corocznie o 6000 nowych pozycji. Nad kompletowaniem księgozbioru czuwa o. Andrzej Bieś SJ, który od 2002 r. jest dyrektorem biblioteki.

Biblioteka Naukowa Księży Jezuitów pomimo kasaty, wojny i kradzieży stanowiła i nadal stanowi ważny ośrodek badawczy dla wielu studentów i naukowców, przyjeżdżających w poszukiwaniu książek, których nie można znaleźć nawet w Bibliotece Narodowej. ■



fot. Zbigniew Jałbrzykowski SJ



# Kartka z Krakowa



Pawilon Wyspiański 2000 – budynek znajdujący się na krakowskim Starym Miściele, na rogu ulicy Grodzkiej i placu Wszystkich Świętych. Ideę budowy pawilonu w ramach Festiwalu Kraków 2000 zgłosił w roku 1998 Andrzej Wajda, który zaproponował też, by w ścianę frontową budynku wkomponowano trzy niezrealizowane do tamtej pory witraże Stanisława Wyspiańskiego. Projekt pawilonu opracował krakowski architekt Krzysztof Ingarden, a budowę rozpoczęto w 2005 roku. Sfinansowane ją ze środków zgromadzonych przez Fundację



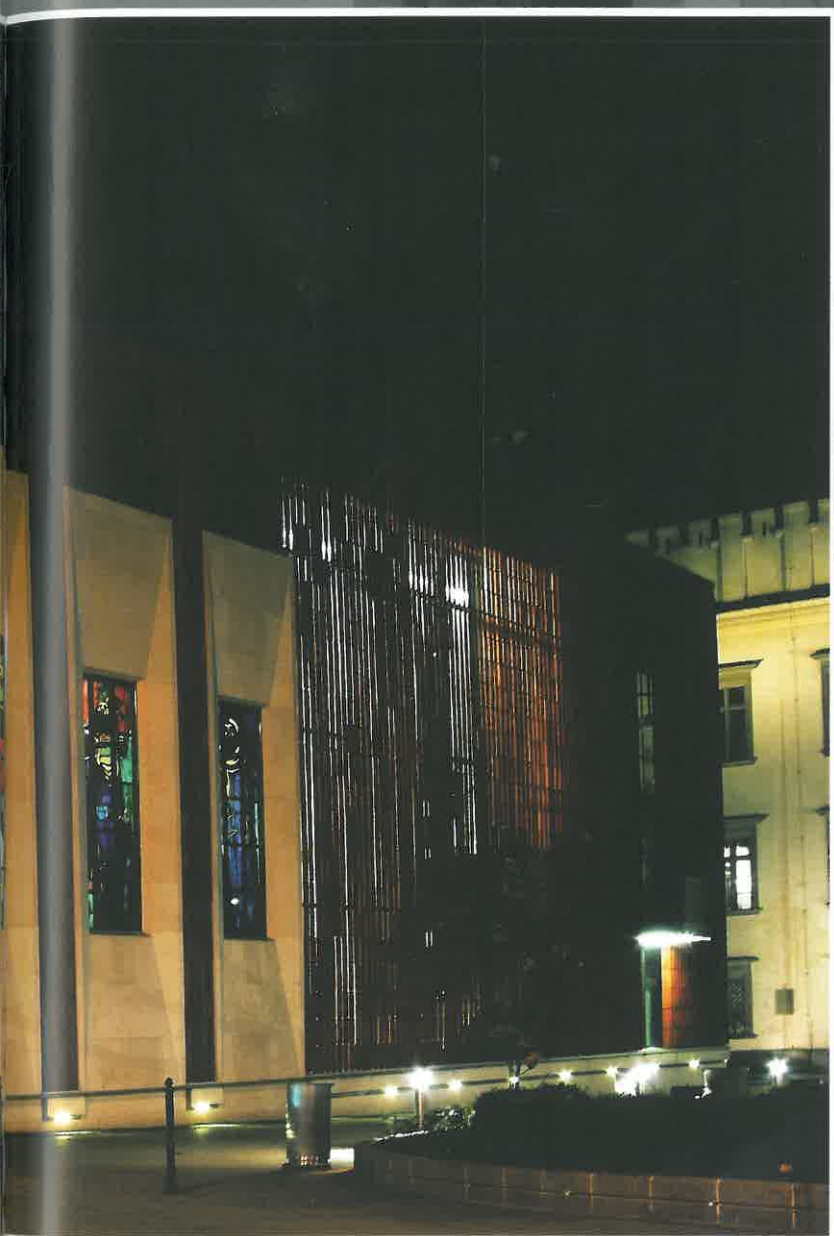


foto: Zbigniew Jabrzykowski SJ

**„Wyspiański 2000”.** Budynek posiada oryginalną fasadę składającą się ze specjalnych ceglanych płytek, zamocowanych na metalowych prętach. Ich odpowiednie ustawienie pozwala na różnicowanie oświetlenia wnętrza – z lewej strony budynku, gdzie ekspozowane są witraże, jest ono zaciemnione, a z prawej otwarte i jasne. Projekty tych witraży Stanisław Wyspiański przygotował pierwotnie dla katedry wawelskiej, której ówczesni gospodarze nie zgodzili się jednak na ich realizację. Przedstawiają one św. Stanisława Biskupa, Kazimierza Wielkiego i Henryka Pobożnego.

# Być rodzicami jezuity

o. Andrzej Migacz SJ



Przychodzi taki dzień, kiedy starannie pakuje się podrózne torby, robi się ostatnie zakupy i myśli się o tym, żeby zostawić po sobie jako taki porządek. Trzeba jeszcze wyskoczyć w kilka miejsc i odwiedzić tych, którym obiecywało się, choćby chwilę spotkania. Potem już tylko pożegnanie z najbliższymi i choć fizycznie jeszcze się jest, to myśli krążą gdzieś dalej: gdzieś, gdzie od jakiegoś czasu już miało się przekonanie, że powinno się być.

Kiedy młodzi ludzie decydują się na podjęcie tak odważnego kroku, jakim jest zostawienie rodzinnego domu, to dotychczasowych zajęć i tego wszystkiego, z czym było się mniej lub bardziej zżytym, i udają się do seminarium lub zakonu, wtedy myśla o swojej przyszłości i czekającym ich świecie, który jest tyle pociągający, co nieznaną. Dobrze wiedzą, że odtąd wszystko będzie inne. Często idealizują tę rzeczywistość, z którą będą musieli się zmierzyć, bo być może w ten sposób chcą dodać sobie wiary i pewności, że ich wybór jest tym właściwym. Przecież czują, że znajomi, a często też najbliżsi, wcale nie popierają ich decyzji. Chcąc jednak pozostać wiernym

swoim pragnieniom, godzą się na przyjęcie wszelkich zmian i wyruszają, by rozpocząć nowe życie. Kto z nich zdaje sobie wtedy sprawę z tego, że ta decyzja pociąga za sobą bardzo wiele konsekwencji i zmian właśnie tam, skąd przyszło udać się w nieznaną – w rodzinnym domu? Nie chodzi tu tylko o odczuwalną tęsknotę, która jeszcze przez wiele miesięcy będzie wyciskać łzy, ani też o jakiś rodzaj niezrozumienia. Dokonywane się zmiany idą o wiele głębiej, bo oto do świadomości rodziców dociera to, o czym nigdy nie myśleli: że stają się rodzicami księdza, rodzicami zakonnika.

Decyzja syna o wstąpieniu na drogę zakonną czy kapłańską przeżywana z perspektywy rodzica, którego dziecko wybrało taką właśnie drogę, zwłaszcza w początkowym okresie nie wydaje się wspaniałym powołaniem chrześcijańskim, o które może nieraz bardziej lub mniej świadomie prosiło się Boga w modlitwie. Znika wzniosłość i tajemniczość, z jaką patrzyło się na wybrańców Boga. Zaczyna przeszkadzać fakt, że to „mój syn”, względem którego miało się jakieś plany i oczekiwania... Nagle okazuje się, że wszystko wzięło w łeb. Dodatkowo

trudne może wydawać się pytanie: „Co sobie ludzie pomyślą, gdy cała sprawa wyjdzie na jaw?”. W takich momentach, które spadają na człowieka jak grom z jasnego nieba, niejedni rodzice rozpoczynają swój rachunek sumienia: „Co myśmy źle zrobili?”, „Gdzie w naszym wychowaniu popełniliśmy błąd?”. Nieco później, gdy pierwsze emocje opadną i gdy okazuje się, że „da się z tym żyć”, przychodzi pokój, radość, nierzadko też dumna i poczucie wyróżnienia. To z pewnością tylko niektóre odczucia, jakie towarzyszą rodzicom w takich chwilach. Chociaż każdy przeżywa je na swój sposób, zwykle daje się zauważyć, że łączy ich wiele wspólnego.

Blisko 30 lat temu o. Fryderyk Młynarczyk SJ zapoczątkował coroczne spotkania dla rodziców jezuitów, które do tej pory cieszą się wielkim powodzeniem. Obecnie organizowane są najczęściej w Częstochowie i Zakopanem, a trwają od czwartku do niedzieli. Spotkania te, zwane często także rekolekcjami, są bardzo dobrą przestrzenią, w której rodzice osób powołanych do zakonu jezuitów mogą podzielić się swoimi odczuciami związanymi ze „zniknięciem” syna. To chyba w takim gronie można znaleźć dla siebie najwięcej zrozumienia i wsparcia w zaistniałej sytuacji. Innym

celem owych zjazdów jest umożliwienie lepszego poznania Towarzystwa Jezusowego – nowej rodziny swojego syna, a także życia w tym Towarzystwie, by jeszcze lepiej móc zrozumieć jego powołanie. Dzięki tej cennej inicjatywie osoby pozostające sobie dotąd nieznanymi i obce, czują się sobie bliskie, a więzi, jakie między nimi powstają, najczęściej trwają już na zawsze. Te szczególne rekolekcje nie tylko jednoczą ludzi między sobą, ale także stwarzają wiele okazji do pogłębienia swojej wiary i życia modlitewnego. My, jezuitki, dobrze wiemy, że kto jak kto, ale rodzice modlą się za nas najwięcej, więc w trakcie tych spotkań modlitwy za jezuitów i całe Towarzystwo zabraknąć nie może.

Są w życiu takie profesje, stany i powołania, które sobie człowiek sam wybiera, a przynajmniej na te wybory ma znaczący wpływ. Powołanie, by być rodzicem jezuitki do takich z pewnością nie należy. I choć przychodzi ono w sposób najbardziej nieoczekiwany, a często i nieproszony, to może stać się źródłem głębokich przemian w życiu dorosłego człowieka. Zaczyna się wówczas jakiś nowy etap na swojej osobistej drodze do Pana Boga. Ten, który „zabiera” i „mieszka plany”, okazuje się hojnym Dawcą i wyśmienitym „Strategiem życia”. ■





PODRÓŻ DROGAMI MŁODEGO, NIEZWYKŁEGO CZŁOWIEKA

# Śladami Stanisława Kostki

o. Paweł Brożniak SJ

**D**oświadczenie ziemskiej przyjaźni z pewnością każdemu zapada głęboko w sercu. Dobrze pamiętamy chwile spędzone w gronie najbliższych, zabawy, psoty, figle czy długie poważne rozmowy. A czy przyjaźń ze świętymi jest możliwa?

„Wierzę w świętych obcowanie” – ile razy większość z nas wypowiedziała te słowa wyznania wiary podczas niedzielnej Mszy? A mimo to żyjemy, jakby ta rzeczywistość była od nas mniej lub bardziej odległa. Tymczasem święci obcuja z nami tak jak ludzie, których spotykamy na co dzień w pracy, w domu, na ulicy; oni pragną również nawiązywać z nami relacje. Nasze

ludzkie przyjaźnie są często niezaplanowane, bo oto spotykamy kogoś, do kogo czujemy sympatię, z kim chcielibyśmy nawiązać znajomość. Pokonując trudności, wchodzimy w relacje, które naznaczają nasze życie. I tak stajemy się szczęśliwi, żyjąc w przekonaniu, że jest ktoś, kto o nas myśli, napisze do nas list, zadzwoni lub niespodziewanie odwiedzi. Podobnie możliwe są przyjaźnie ze świętymi. A jak uczynić pierwszy krok?

Na początek warto zadać sobie pytanie, czy jest jakaś święta lub święty, który jest mi wyjątkowo bliski, do którego mam szczególne nabożeństwo lub zwracam się spontanicznie w chwilach radości lub kiedy jest mi trud-



foto: Paweł Kopociński





fot. Paweł Kopicński

no. Następnie warto sięgnąć po jego biografie i zobaczyć, jak wyglądało jego życie. Tutaj może się okazać, że czekają nas ciekawe niespodzianki, które odkryją przed nami wydarzenia, historie życia dziwne podobne do naszych. Poznamy kogoś, kto przeżył życie, z jednej strony ufając Bogu, a z drugiej podejmując je takim, jakim było. Poznając świętych przyjaciół i zwracając się do nich, nawiążemy relację, która zaowocować może równie niespodziewanymi spotkaniami z ich strony, wstawnictwem, doświadczymy, jak bardzo jesteśmy obdarowywani różnymi darami.

Moja przyjaźń ze świętym Stanisławem Kostką zaczęła się na dobre ponad półtora roku temu. Na początku nie znałem go, a obrazy które przedstawiały Stanisława, nie zachęcały mnie do poznania go bliżej. Taki młodzieniaszek z wypiekami na policzkach, zapatrzony w niebo ze złożonymi rączkami... Przekaz z kościelnych kazań czy szkolnej katechezy czynił Staszka raczej niedoścignionym wzorem doskonałości. Pewnie dlatego nie zwracałem na niego uwagi, był za święty. Aż tu pewnego razu miałem bliższe spotkanie ze Stanisławem. Było to w Starej Wsi k. Brzozowa

w nowicjacie jezuickim, w kaplicy pod jego wezwaniem, gdzie znajduje się największa jego relikwia w Polsce. Myśląc o nim i o jego historii, zacząłem odkrywać człowieka głębokiej wiary, który pokazał, jak Bóg działał w jego życiu. Staszek, zanim zrealizował pragnienie swojego serca, doświadczył wielu prób. Kiedy chciał wstąpić do Towarzystwa Jezusowego, spotkał się ze sprzeciwem rodziców, a w konsekwencji odmówiono mu przyjęcia do zakonu. Mimo tego nie zniechęcił się. Przemierzył prawie dwa tysiące kilometrów z Wiednia przez Dylinę do Rzymu, aby osobiście prosić generała jezuitów o przyjęcie do nowicjatu. Jego prośba została wysłuchana, lecz jego życie zakonne trwało niewiele ponad dziesięć miesięcy. Mimo wszystko stał się jednym z najbardziej znanych świętych na świecie, jest też patronem Polski, dzieci i młodzieży, wielu miast, patronem oręża polskiego i, jak nazwał św. Stanisława Jan Paweł II, „patronem trudnych dróg młodej Polski”. Wtedy odkryłem wielkiego Stanisława, który z młodzieńczym zapałem i determinacją poszedł za głosem serca, zaufał Bogu i oddał się w Jego ręce, stając się szczęśliwym człowiekiem.



fot. Paweł Kopiczński

W styczniu tego roku dowiedziałem się o pielgrzymce „Śladami Staszka Kostki”. Bardzo chciałem uczestniczyć w tym wydarzeniu, które pozwoliłoby mi jeszcze lepiej poznać i zrozumieć mojego nowego przyjaciela. Stanisław pomógł mi kolejny raz. Choć obowiązki, czas pielgrzymki i różne inne wydarzenia nakładały się na siebie, udało się tak wszystko zorganizować, by móc wyruszyć „śladami Staszka”. Ruszyliśmy 21 czerwca z Gdyni, ze wzgórza św. Stanisława, kierując się do Rostkowa, gdzie w 1550 roku urodził się nasz bohater. Po Mszy św. i spotkaniu z księdzem proboszczem pojechaliśmy do Krakowa.

22 czerwca odprawiliśmy Mszę św. w kościele św. Barbary przy Małym Rynku. Tutaj bowiem znajduje się cudowny obraz świętego Stanisława z roku 1600 oraz piękny relikwiarz, przechowujący chustę, którą ocierano pocący się i płaczący obraz. Z Krakowa, podobnie jak Staszek z bratem Pawłem i nauczycielem Bilińskim w 1564 r., wyruszyliśmy do Wiednia. Przybyliśmy tam

następnego dnia. Zostaliśmy ugoszczeni przez wspólnotę jezuitów pracujących przy kościele uniwersyteckim, ale najważniejszym punktem dnia była wizyta w pokojach św. Stanisława w domu ówczesnego ławnika miejskiego Kimberga. To tutaj miały miejsce wydarzenia, które wpłynęły na dalsze życie Staszka. To w czasie pobytu u Kimberga jego wiara została poddana próbie, kiedy doświadczył kpin ze strony współlokatorów, a następnie, kiedy podczas ciężkiej choroby gospodarz nie wyraził zgody na wizytę księdza. Wtedy ukazała się Stanisławowi św. Barbara z dwoma aniołami, przynosząc mu Najświętszy Sakrament. Innym razem w czasie choroby miał wizję Matki Bożej ofiarującej mu Dziecię Jezus i polecającej, by wstąpił do Towarzystwa Jezusowego. Te wydarzenia upamiętnia obraz, który znajduje się w kaplicy w pokojach domu Kimberga.

24 czerwca pielgrzymi szlak doprowadził nas do Dylingi, gdzie zostaliśmy serdecznie przyjęci przez miejscowego księdza

proboszcza. Dzięki niemu zjedliśmy pyszny obiad oraz zostaliśmy oprowadzeni po mieście. Ta piętnastotysięczna miejscowość jest bardzo związana ze św. Stanisławem. To dzięki jego wstawiennictwu, jak głosi przekaz, udało się uratować kolegium jezuickie i kościół przed pożarem. Na zakończenie pobytu w Dylindze, gdzie Stanisław spotkał się ze św. Piotrem Kanizyem, którego prosił o przyjęcie do Towarzystwa i został odesłany do ojca generała do Rzymu, odprawiliśmy Mszę świętą i ruszyliśmy w kierunku Innsbrucka.

25 czerwca zasmakowaliśmy alpejskiej wędrówki. To był niesamowity dzień. Jak zawsze podzieliliśmy się na trzy grupy. Teoretycznie miały one mieć różne poziomy trudności, od bardziej wspinaczkowych, po typowo rekreacyjne. Jak się okazało, grupa najbardziej rekreacyjna przeżyła najwięcej atrakcji. Na długo zostanie nam w pamięci Innsbruck, miejsce zmagania się z wieloma przeciwnościami, wyczerpujący szlak, brak wody czy też burza z gradem i piorunami. Tak jak Staszek doświadczyliśmy przeciwności, ale ważny był cel. To on uskrzydlał nas w chwilach zmęczenia. Z bąblami na stopach, przemoknięci, przygotowywaliśmy się do ostatniego etapu naszej pielgrzymki.

26 czerwca dotarliśmy do Rzymu. Wieczne Miasto przywitało nas wysoką temperaturą. Były to, jak się później okazało, najgorętsze dni roku. Duża wilgotność przypominała wizytę w saunie. Kolejny raz czuliśmy, że pielgrzymujemy. Pot spływający po twarzy dopingował do tego, by dzielnie znosić każdy wysiłek. Kolejny dzień miał być naszą metą.

27 czerwca przed południem dotarliśmy do kościoła św. Andrzeja na Kwirynale. Dla wielu jezuitów to najpiękniejszy zakątek Wiecznego Miasta. Tutaj spoczywa święty Stanisław. Ze wzruszeniem uklękliśmy przed jego ołtarzem, dziękując za szczęśliwą pielgrzymkę. Msza święta, którą odpra-

wiliśmy, była wielkim dziękczynieniem za błogosławieństwo, które nam towarzyszyło.

28 czerwca poświęciliśmy na zwiedzanie Rzymu, wizyty w miejscach związanych z jezuitami, odprawiliśmy też Mszę świętą w pokojach św. Ignacego w kolegium przy kościele Imienia Jezus. Jedna grupa ruszyła szlakiem czterech większych bazylik, na koniec biorąc udział w nieszporach z papieżem Benedyktem XVI w Bazylice św. Pawła za Murami.

29 czerwca w Uroczystość Świętych Apostołów Piotra i Pawła udaliśmy się do Bazyliki św. Piotra w Watykanie na Mszę z Benedyktem XVI, podczas której nowo mianowani biskupi otrzymali paliusze. Był wśród nich metropolita gdański abp Sławoj Leszek Głódź. Po obiedzie ruszyliśmy w drogę powrotną do Gdyni. Czas wędrówki śladami Stanisława Kostki to dla wielu uczestników dopiero początek drogi. Wielu dyskretnie powierzyło Świętemu swoje pragnienia i wyruszyło z nim w drogę ku ich realizacji. Czas pokaże, gdzie dotarli.

## Św. Stanisław Kostka – patron jezuickich wspólnot młodzieżowych MAGIS

MAGIS z łac. znaczy bardziej, to kluczowe słowo dla św. Ignacego, założyciela zakonu. Jego pragnieniem było odznaczyć się bardziej – MAGIS w służbie Bogu w Kościele powszechnym. Wspólnoty młodzieżowe MAGIS to propozycja dla młodych (16-19 lat), którzy swoje życie również pragną realizować w tym właśnie duchu. Bycie świadkiem Jezusa rozumieją jako aktywne, dynamiczne i twórcze życie wiarą. Stanisław Kostka został ogłoszony patronem jezuickich wspólnot młodzieżowych. Jego postawa życiowa jest właśnie inspiracją, jak łączyć młodzieńcze pragnienia z codziennym życiem w domu, szkole i w Kościele. ■



KURS JĘZYKA ANGIELSKIEGO TO NIE TYLKO CZAS SPĘDZANY W KLASIE, TO PRZEDE WSZYSTKIM SPOTKANIE Z INNĄ KULTURĄ

# Cracow College Story

sch. Zbigniew Jałbrzykowski SJ

3 lipca tego roku w Krakowie rozpoczęła się kolejna, bodaj 7. już edycja Letniego Kursu Języka Angielskiego dla jezuitów (i nie tylko). Stał się on okazją nie tylko do nauki języka, ale i do niezwykle pouczających obserwacji skutków kontrolowanego zderzenia cywilizacji, jakiego niewątpliwie staliśmy się świadkami na korytarzach i w salach krakowskiego kolegium. Ale zaznajmijmy od początku.

## Cisza przed burzą

Kurs zanim się rozpoczął naprawdę, z zajęciami, konwersacjami itp., żył już swoim życiem pokątnym i ukradkowym – w fazie przygotowań. To życie połowiczne bywało jednak już bardzo żywiołowe, czego piszący te słowa intensywnie doświadczał, dzieląc mieszkanie z Przemysławem Gębalą (PME), dyrektorem kursu po starszej stronie oceanu. Przemek zaangażował bowiem w te przygotowania wiele pracy i nerwów, a ojcowie Ekonomowie sumy pieniężne z pewnością wprost proporcjonalne do Przemkowego wysiłku...

Po stronie amerykańskiej projektem kierował Brian Reedy, jezuita, człowiek prowincji nowoorleańskiej, nauczyciel przedmiotów ścisłych w jednym z jezuickich – nazwijmy to – liceów w Houston (Texas). Osoba Briana stanowiła nowość, gdyż w poprzednich dwóch edycjach kursem kierował Chris Pinee z Bostonu (Prowincja Nowej Anglii). Choć Brian był w tym roku u nas po raz pierwszy, to oryginalnie właśnie jego prowincja zapoczątkowała tradycję lipcowego kursu języka angielskiego w naszym kolegium. W każdym razie tegoroczna zmiana Bostonu na Houston oznaczała przesunięcie w kierunku równika, odczuliśmy zatem

zdecydowany wzrost temperatury i wilgotności powietrza, gdy wraz z przyjazdem naszych amerykańskich przyjaciół na Kraków spadł upał, chociaż Brian i inni uznali, że polska pogoda bardziej przypomina im ichnią zimę. Cóż, skoro 30°C i 90% wilgotności ma oznaczać zimę? Niestety jednak przyroda szybko postanowiła utwierdzić naszych gości w ich przekonaniu o polskich chłodach...

## Amerykanie, czyli osoby dramatu

Brian Reedy oczywiście nie przyjechał sam, ale przywiózł ze sobą grupę dobrze ułożonych (a może tylko wystraszonych egzotyką polskiej rzeczywistości) młodych ludzi. Byli to uczniowie szkoły, w której Brian pracuje, chłopcy w wieku 17 lat, zapewne prymusi, dla których udział w kursie był swoistą nagrodą. W czasie kursu pełnili funkcje asystentów nauczycieli (przynies, podaj, przytnij, przygotuj, poprowadź część lekcji itp. itd.) oraz partnerów do konwersacji z uczestnikami, czyli z nami. Brian nie prowadził dla nas zajęć, ale niekiedy pomagał w konwersacjach, nadzorując poza tym całość kursu i niekiedy przy tym trochę dokazując... Rozkręcał się powoli, ale konsekwentnie – podobnie zresztą jak dająca coraz więcej oznak życia gromadka młodzieńców pod jego opieką.

Spośród nauczycieli jeszcze tylko Eric Watson był jezuitą, ale z prowincji oregońskiej. Jako nauczyciel pracował również John Simmons z Detroit, który w tym roku został przyjęty do nowicjatu w prowincji... Detroit, ukończywszy studia na jezuickim Uniwersytecie Johna Carrola w Cleveland. Poza nimi angielskiego uczyli nas jeszcze: Andy Pruett, nauczyciel „wielobranżowy”



i trener futbolu amerykańskiego (wyglądał jakby nigdy nie zdejmował tych naramienników...) ze szkoły w Houston, wobec Boga baptysta (chyba jeden z najwierniejszych uczestników Mszy świętej w czasie kursu! – może homilie mu się podobały?), a także absolutnie oryginalne i niezwykle rozpolitykowane małżeństwo: Jackie Kalin (-owski – jej dziadek po emigracji z Polski uciął mniej amerykańską część swego *surnamé'u*) i Kenneth „Coop” Cooper (największe wąsy kursu, bardzo głośny i bardzo pobożny, Irlandczyk z pochodzenia; krótki kurs geografii politycznej w wykonaniu Coopa: *Don't say Great Britain! In USA we never say Great Britain – just Britain. Cause*

zmu – rozwinęli sztandar *Stars and Stripes*, na którym 51 gwiazdek ułożonych było w pacyfkę – osłupiliśmy. Na koniec tych zajęć jeszcze skłonili nas (tzn. uczniów) do chóralnego odśpiewania polskiego hymnu narodowego (z okazji amerykańskiego *Independence Day!*) – którego słuchając, Coop prawie popłakał się, o mało nie podejmując decyzji o zmianie obywatelstwa – a potem, poprzez wykonanie angielskiej wersji językowej, do sprofanowania go (niestety angielszczyzna nie brzmi dobrze w rytmie mazurka). Konwersacje z Jackie polegały przede wszystkim na komentowaniu bieżących wydarzeń politycznych, martwieniu się globalnym ociepleniem tudzież



fot. Archiwum LK/A

*believe me: there's really nothing Great about Britain*). Tak się złożyło, że oboje prowadzili zajęcia, w których uczestniczył piszący te słowa. Coop do każdego z nas zwracał się *per brother* – do niżej podpisanego *Z-brother* ze względu na nieprzewidywalne trudności w wymówieniu imienia – a po jego przyjacielskich kłapnięciach w plecy i ramiona niektórym zapewne pozostawały sine pamiątki. Zarówno Coop, jak i Jackie są pacyfistami – Jackie żyła się, że w słowach hymnu USA latają wybuchające w powietrzu granaty – rzeczywiście dziwne. A gdy 4 lipca, z okazji *Independence Day* – urządzając na zajęciach nawet interesujący pokaz amerykańskiego patriotyzmu

niedożywieniem Trzeciego Świata, a także na potępianiu niesprawiedliwości międzynarodowych instytucji finansowych. Zarówno Jackie, jak i Coop są nauczycielami, z tym, że Jackie uczy imigrantów angielskiego, a Coop jest katechetą – niekiedy katecheza wygrywała wprawdzie z angielskim, ale przecież ważne jest to, że była po angielsku! A skoro jesteśmy przy polityce, to chcę tylko wyjaśnić, że choć kurs wypadł chyba w najgorętszym okresie polsko-amerykańskich negocjacji dotyczących tarczy antyrakietowej, to bynajmniej opary politycznych sporów nie zatruły atmosfery naszego kursu – i chwała Bogu!

## Reszta świata, czyli osób dramatu ciąg dalszy

Co do pozostałych uczestników kursu, tzn. uczniów, to większość stanowili polscy scholastycy, a skład urozmaiciły tylko trzy rodziny. Pierwszy był rodzynek świecki: Karol Kaczmarek, student Politechniki Śląskiej. Mój Boże, ten to się dopiero napatrzył. Jak też on wpadł na pomysł uczestnictwa w tym kursie? W każdym razie bardzo się z nami żył, i *vice versa*. Pod koniec lipca po kolegium poruszał się właściwie ze swobodą rutynowego scholastyka. Co ciekawe, Karol posiada tak bardzo anglosaską urodę, że na początku wszyscy brali go za Amerykanina. Biedak, nie mógł się w tym odnaleźć, ale swój los znośił z humorem. Drugi rodzynek był czeski: o. Josef Čunek, superior z Pragi, znakomity, bardzo pogodny człowiek. Od jego czeskiego śmieszniejsza była tylko jego niekonwencjonalna, acz odważna polszczyzna, a co do angielskiego, to sam stwierdził, że nie rozumie go „ni w ząb”. Trzeci rodzynek był węgierski: o. Tibor Bartók – jak ten sławny węgierski kompozytor, Bela. Jest on neoprezbiterem (tzn. Tibor, a nie Bela), o czym uczestnicy kursu dowiadawali się stopniowo i przez przypadek, a niektórzy z nich dowiedzieliby się o tym może, dopiero czytając te słowa (nawet pomimo tego, że odprawił dla nas kilka Mszy... robił to doprawdy bardzo niepozornie). Tak, Tibor był chodzącą pokorą i skromnością. Poza angielskim, którym – jak sam (!) twierdził – posługuje się bardzo słabo, zna niemiecki, francuski i włoski. Ale pomimo tych znakomych kompetencji językowych przyznawał, że bez angielskiego radzi sobie w międzynarodowym towarzystwie jezuitów jak bez ręki, bo z prawie każdym mógłby wprawdzie porozmawiać w jego rodzimym języku, ale cóż z tego – ubolewał – skoro oni wszyscy w grupie rozmawiają ze sobą tylko po angielsku.

## Co? Gdzie? Kiedy? – czyli czas i miejsce dramatu

Każdy tydzień kursu wyglądał dość podobnie. Codziennie rano mieliśmy za-

jęcia w grupach według poziomu naszej angielszczyzny. O ich liczbie, liczebności i przynależności do nich każdego z nas zdecydował oczywiście test wstępny i rozmowa z Brianem bądź z Jackie pierwszego dnia kursu. Ostatecznie podzielono nas na pięć grup. Codzienne przed południem uczestniczyliśmy w zajęciach trwających 2,5 godziny (9:00–11:30) z dwiema krótkimi przerwami. O godz. 11:45 odprawiana była kursowa Msza święta. Po Mszy świętej i *lanczu* odbywały się konwersacje, na które codziennie przeznaczano przynajmniej pół godziny dla każdego ucznia. Msza święta odgrywała codziennie wielką rolę, i to nie tylko jako doświadczenie duchowe, ale również językowe i kulturowe. Amerykanie niezwykle poważnie traktowali dialog ludu z celebransem, angażując w to nawet mowę ciała – trudno było się do tego przyzwyczaić, nasze głupie uśmiešky zniknęły dopiero po wielu dniach. Msza odprawiana była oczywiście zawsze po angielsku, o. Čunek koncelebrował przy ołtarzu, ruszając niemo ustami (po czesku?), zaś Tibor robił to samo w konspiracji (po węgiersku?), ukryty wśród nas w ławce. W tym miejscu pragnę podziękować liczny kapłanom krakowskiego kolegium za poświęcenie, jakim się wykazali, odprawiając dla nas te Msze, gdyż, jak już się zapewne uważny czytelnik zorientował, Amerykanie nie przywieźli z sobą księdza – o czym się dowiedziawszy, Przemek poczuł się nieco skonfundowany. Co do homilii, to była to najbardziej emocjonująca część Mszy. Po pierwszych dniach kursu i po weekendzie, gdy homilii po prostu nie było, Brian uznał nie tylko, że tego elementu Mszy świętej nie może na kursie zabraknąć, ale również, że nie może on nie zostać wykorzystany w celach dydaktycznych. Homilia stała się zatem poligonem, na którym jezuicy uczestnicy kursu mogli sprawdzić swoją znajomość języka angielskiego – z pożytkiem dla dusz, o ile to tylko możliwe, nie tylko własnych. I w ten sposób wielu z nas, chcąc nie chcąc, w pocie czoła i drżącą angielszczyzną dzieliło się swoimi przemyśleniami nad Słowem Bożym. Efekt niestety bywał niejasny, a niekiedy wręcz

niezrozumiały – przynajmniej dla którejś połowy słuchaczy. Była to prawdziwa modlitwa językami (jak zresztą w ogóle nasze angielskie Msze)... Duch Święty wieje kędy chce i szum Jego słyszysz... niby nic nie rozumiesz, a łaska przecież działa.

## Zajęcia po zajęciach, czyli kursowe antrakty

W środy monotonię bloku przedpołudniowego urozmaicały różne konkursy przygotowywane przez Briana z niemałą pomysłowością i zaangażowaniem. Były to podchody, quasi-kalambury i tym podobne przepychanki – nie tylko intelektualne, gdyż atmosfera bywała w ich czasie naprawdę gorąca. Braliśmy w nich udział podzieleni na drużyny odpowiadające grupom lekcyjnym, a zwycięzcy zapraszani byli na kolację do jednej z krakowskich restauracji. Andy Pruett po pierwszej wygranej swojej drużyny dopingował ją następnym razem dziarskimi okrzykami: *Piwo, piwo!* Niestety dla innych drużyn doping ten podziałał piorunująco, a to mogło oznaczać tylko jedno: że te kolacje poza kolegium musiały być naprawdę dobrą nagrodą. Niestety, żadnej z nich zrelacjonować nie mogę. Pamiętam tylko, że podczas ostatniego konkursu dochodziło już niemal do rękoczynów, gdy

grupa Andy'ego po dwóch zwycięstwach znowu punktowała podejrzenie dobrze. Byli prawie bezkonkurencyjni, ale w końcu okazując wielkoduszność, odstąpili nagrodę grupie Coopa, z którą pierwsze miejsce zajęli *ex aequo*. Wieczorne znużenie z reguły staraliśmy się pokonać, oglądając filmy, na przemian komedie (mniej lub bardziej śmieszne, ale za to po angielsku) i dramaty (mniej lub bardziej dramatyczne..., ale też po angielsku), a niektórzy także grając w angielską wersję *scrabble*, której to gry fanatyczką okazała się Jackie.

*Łykendy* były czasem odpoczynku. W soboty organizowane były wycieczki, głównie z myślą o Amerykanach, żeby poznali trochę sam Kraków i jego okolice. Niedziele były wolnym czasem do własnej dyspozycji – ale najbardziej zapaleni uczniowie nawet wtedy mogli znaleźć Mszę niedzielną po angielsku, w kościele św. Idziego pod Wawelem o godz. 10:00, odprawianą przez... tych zakonników w białych habitach i czarnych pelerynkach. I tylko w ostatni kursowy weekend spędziliśmy w Zakopanem, żeby trochę odpocząć – bardzo się przy tym męcząc; no żeby i pokazać tym Jankesom, że nasze Tatry sroce spod ogona nie wypadły i są nie mniej skaliste niż same Góry Skaliste. ■



for. Archiwum LKFA



SPOTKANIE EUROPEJSKICH JEZUITÓW PODCZAS FORMACJI

# Zjednoczona Europa?

sch. Stefan Pepol SJ



fot. Archiwum EJIF

Nie, nie będzie to rozprawa na temat Unii Europejskiej, wizji zjednoczonych społeczeństw i Europy bez granic, choć kto wie, może będzie można znaleźć tutaj jakieś odniesienie? Jak powiedział nam o. Michael Holman, prowincjał brytyjski, z czasem będzie coraz większa potrzeba współpracy pomiędzy europejskimi prowincjami. Jest coraz więcej wspólnych dzieł, domów, w których są międzynarodowe wspólnoty. Wynika to po części z tego, że niektóre prowincje się „kurczą” i nie są w stanie w pojedynkę i w sposób niezależny prowadzić niektórych dzieł. Przykładem tego są nowicjaty. Podobny ton wypowiedzi, moim zdaniem, miał obecny wśród nas przez kilka dni prezydent konferencji prowincjałów europejskich – o. Mark Rotsaert, który podkreślił chociażby dokonaną przez 35. Kongregację Generalną zmianę w naszym prawie, która polega na tym, że od teraz uznaje się, iż potrzeby konferencji – grupy prowincji takiej jak np. prowincje Europy – jej dzieła i zadania, mają większy priorytet niż te poszczególnych prowincji<sup>1</sup>.

Tego wszystkiego i wielu innych rzeczy dowiedzieliśmy się w sierpniu, na spotkaniu Europejskich Jezuitów Podczas Formacji

(ang. skrót EJIF), które w tym roku miało miejsce, a właściwie miejsca, we Francji. Najpierw przyjechaliśmy na południe kraju, w pobliże Aix-en-Provence do naszego domu La Baume. Tam mieliśmy kilka dni na prezentację naszych prowincji i warsztaty dotyczące tematu tegorocznego EJIFu, którym była „Służba przez bycie leaderem”. Zajęcia poprowadził o. Alfred Darmanin, pochodzący z Malty profesor na co dzień wykładający socjologię. Po tygodniu spędzonym w uroczym La Baume, skierowaliśmy się na północ do naszego domu rekolekcyjnego Le Chatelard w okolicach Lyonu, na swoje rekolekcje, które mieliśmy szczęście odprawić pod kierownictwem o. Michaela Holmana. Na całe spotkanie przyjechało 23, mniej lub bardziej młodych jezuitów z 14 różnych krajów. Gościliśmy także kilku naszych ojców. Oprócz tych, o których już wspomniałem, byli również wprowadzający serdeczną atmosferę o. Dermot O'Connor, obecnie pracujący w Brukseli jako socjusz o. Marka Rotsaerta, o. Pablo Alonso z Hiszpanii oraz o. Ludger Joos z Niemiec, który notabene zna Polskę z okresu magisterki w Krakowie i, jak sam twierdzi, lubi mówić po polsku. Jednak najważniejszym i najbardziej oczekiwany gościem był sam nowo wybrany Generał Towarzystwa – o. Adolfo Nicolás, który odwiedził nas w Le Chatelard. Spotkanie z nim rozpoczęliśmy od Mszy św. Uderzyła nas prostota, z jaką się modlił i mówił do nas. Przez całą homilię, którą wygłaszał z dużym spokojem, uśmiechał się, co udzielało się również i nam. Po Mszy spotkał się jeszcze z nami i sam nadał temu spotkaniu ton zupełnie nieformalny. Chociaż wypowiadał ważne słowa, które

<sup>1</sup> KG 35, D. 5, n. 20.a.1, który modyfikuje KG 34 D. 21, n. 24.



zapadły mi w pamięć, to jednak atmosfera była bardzo żywa i serdeczna. Nie wyczuwało się żadnego dystansu, zupełnie jakby to nie był nasz Generał! Miałem wrażenie, że o. Adolfo nie czuje się jak ten, który ma dźwigać brzemień wielkiej odpowiedzialności, ale dał się poznać raczej jako ktoś, kto wie, że jest tylko narzędziem i uczy się być nim jak najlepiej.

EJIF to sposób na bardzo żywe doświadczenie różnorodności w ciele, jakim jest Jezusowe Towarzystwo. Jak zauważył jeden z ojców pod koniec naszego spotkania, patrząc na nas, widać wyraźnie odrębność temperamentów i ślad różnych kultur, z jakich pochodzimy, mówił np. że Hiszpan „is so Spanish”, Portugalczyk „Portuguese”, a Polacy „so Polish”, a jednak tym, co wielu z nas uderzyło od samego początku, była wzajemna otwartość, jaka panowała wśród nas – czuliśmy się, jakbyśmy się już znali wcześniej! Jednocześnie mieliśmy przeżycie, że to nie tylko otwartość sprawiała, że jest między nami rodzaj jedności. W konfrontacji z tym, co nas różniło, cen-

nym było zobaczyć, jak wiele – z tego co istotne – nasłączy! W rozmowach odkrywa-  
liśmy wspólne cele i poczucie misji, wspólną wizję świata, po prostu wspólne źródło jakim jest to, co nazywamy duchowością ignacjańską.

W perspektywie coraz bardziej potrzebnej i prawdopodobnej współpracy między jezuitami różnych krajów Europy i różnych prowincji, wzajemne poznawanie się młodego pokolenia jezuitów nabiera nowego znaczenia. Komunikacja i współpraca z kimś, kogo się już zna, jest zupełnie innej jakości. Biorąc pod uwagę dzisiejsze realia, mianowicie to, że wstępujących do naszego zakonu jest w Europie dużo mniej niż kiedyś, w wielu prowincjach nawet wszyscy scholastycy mogą „przewinąć się” przez EJIF. Jest to okazja, by rzeczywiście poznać współbraci, ale i więcej: poznać inne sposoby realizowania naszej misji i dostrzec to, co jest dla nas wspólne. Zobaczyć szerszy horyzont niż tylko własne podwórko, co może sprzyjać refleksji nad tym, o co tak naprawdę chodzi w jezuickim życiu. ■



foto. Archiwum EJIF

# V IDM

## o. Paweł Brożniak SJ

„Nie bój się pragnąć” – pod takim hasłem odbyły się V Ignacjańskie Dni Młodzieży w Starej Wsi, które zwieńczyły 9-dniowe rekolekcje jezuitkich wspólnot młodzieżowych MAGIS. Formacja MAGIS składa się z dwóch elementów: pracy rocznej we wspólnocie lokalnej oraz z rekolekcji śródrocznych: podczas ferii zimowych i wakacji. W tym roku poprowadziliśmy dwa pierwsze stopnie, dwa drugie, jeden trzeci i jeden czwarty. W sumie w czterostopniowej formacji wzięło udział 404 uczestników oraz 23 jezuitów. Dzięki gościnności władz Brzozowa i Domaradza oraz Naszych magisowicze zamieszkali w następujących szkołach: w Grabownicy, Brzozowie, Starej Wsi, Golcowej i na starowiejskiej Willi. Rekolekcje MAGIS i IDM stały się tym samym największą „zorganizowaną imprezą masową w powiecie brzozowskim”, jak słusznie zauważył komendant policji z Brzozowa.

W tym roku wiele było okazji do świętowania. Jubileuszowe V IDM oraz ogłoszenie Stanisława Kostki Patronem MAGIS. Do tych wydarzeń przygotowaliśmy dalsze rozpoczęliśmy pół roku temu podczas rekolekcji zimowych. Nawiązując do IDM-owego hasła „Nie bój się pragnąć”, należy powiedzieć, że inspiracja przyszła bezpośrednio od Staszka Kostki. To on przecież





fol. Leszek Wilczak SJ



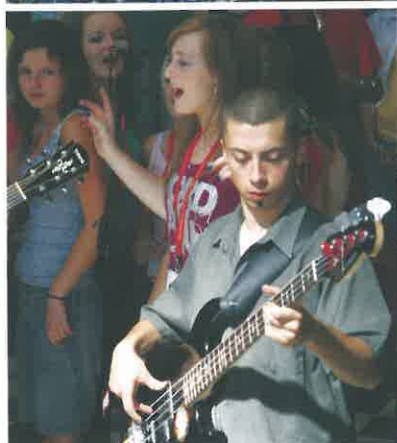






foto. Leszek Wilczak SJ

był i jest przykładem dla magisowiczów i nie tylko, jak pragnienia odkrywać i jak je realizować. Wśród magisowiczów nie brakuje tych, którzy mają pragnienia często wielkie, ale okoliczności, w których przyszło im żyć, często utrudniają im ich odkrycie, a następnie ich realizację.

Dodatkowo w tym roku przypada 440. rocznica śmierci świętego Stanisława. Magisowicze chcieliby, obierając sobie Staszka za Patrona, ukazać na nowo jego wielkość i przyczynić się do odnowienia jego kultu wśród młodych. W tym miejscu nawiążę od razu do nabożeństwa przygotowanego przez nowicjuszy w czasie IDM-u z okazji ogłoszenia Staszka Patronem MAGIS. Podczas tej doniosłej uroczystości wobec relikwii świętego dokonaliśmy odczytania Aktu oddania się w opiekę Stanisława oraz każda wspólnota magisowa (w sumie jest ich 12 w Polsce) otrzymała magisowy relikwiarz ze św. Stanisławem.

V IDM zgromadził w tym roku 456 uczestników, ponad 30 prowadzących warsztaty i prawie 40 jezuitów (ojców, braci, scholastyków i nowicjuszy). Dodatkowo, by to wydarzenie uczynić bardziej otwartym, zaprosiliśmy na koncerty otwarcia i finałowy mieszkańców Starej Wsi oraz miejscowości, gdzie przebywała młodzież. W przygotowaniu jest również film, który ma zaprezentować jezuickie młodzieżowe wspólnoty MAGISi IDM oraz przedstawić Stanisława Kostkę jako świętego bliskiego młodzieży również dzisiaj. Myślę, że tę produkcję uda się ukończyć na wiosnę przyszłego roku. Na koniec chciałbym nawiązać jeszcze do dwóch wydarzeń. Mszy św. otwierającej V IDM przewodniczył ojciec prowincjał PMA Dariusz Kowalczyk, który na początku poświęcił piętnaście ornatów i dwie dalmatyki magisowe. V IDM przeszły już do historii. Cieszy, że ich uczestnicy, prowadzący warsztaty oraz Nasi wyjeżdżali zadowoleni. To „wszystko jednak dopiero początek. Nieustannie mamy przed sobą perspektywę Roku Jubileuszowego 2018 (450. rocznicy śmierci Stanisława Kostki), do którego przez najbliższe lata chcemy się przygotowywać. ■

MISJĄ NASZEJ DZIAŁALNOŚCI JEST PRZEDĘ WSZYSTKIM MŁODY CZŁOWIEK I JEGO WSZECHSTRONNY ROZWÓJ

# Dom pełen szans

o. Mirosław Skiba SJ

17 września 2008 roku Dom Spotkań obchodził 15. rocznicę założenia. Z tej okazji została również zorganizowana konferencja środowisk edukacyjnych na Dolnym Śląsku pod tytułem: „Dialog pomiędzy edukacją nieformalną a formalną”.

## Czym jest Dom Spotkań?

Jesteśmy pozarządowym centrum edukacyjno-szkoleniowym, gromadzącym młodych ludzi (ze szkół średnich i studentów) o różnych poglądach i wyznaniach, różnych narodowości i kultur. Gościmy młodzież z całej Europy, która wyrasta z różnych kultur i tradycji, która ma doświadczenie różnych wyznań religijnych. Chcemy promować świadome obywatelstwo, edukując i wychowując młode osoby do odpowiedzialności społecznej. Wspólne spotkania są doskonałą okazją do uczenia się dialogu międzykulturowego i międzyreligijnego.

## Początki Domu Spotkań

Dom Spotkań formalnie otrzymał status jednostki organizacyjnej Kościoła katolickiego w 1993 roku. Dwóch naszych współbraci: o. Janusz Śliwa SJ i o. Krzysztof Homa SJ, zapewne inspirowanych niemieckim modelem funkcjonowania podobnych organizacji oraz przekonaniem o potrzebie podobnego modelu edukacji w naszej ojczyźnie, przystąpiło do tworzenia Domu Spotkań.

W 1993 r. DAS rozpoczął współpracę z Polsko-Niemiecką Wymianą Młodzieży (jako Jednostka Centralna), przeprowadzając programy dla Polaków i Niemców, łączące w sobie elementy historii i zabawy, poznawania innych tradycji i innych ludzi. Po-



tem doszły do tego warsztaty dla polskich szkół średnich w ramach wiedzy o funkcjonowaniu społeczeństwa demokratycznego itd. W 2003 roku Dom Spotkań został wpisany przez Wydział Edukacji Urzędu Miejskiego Wrocławia do rejestru szkół i placówek niepublicznych jako placówka oświatowo-wychowawcza.

## Misja Domu Spotkań

Misją naszej działalności jest przede wszystkim młody człowiek i jego wszechstronny rozwój. Chcemy odpowiadać na potrzeby społeczno-kulturowe młodych ludzi. Zależy nam szczególnie na młodych osobach, dla których wejście w życie społeczne jest z różnych względów utrudnione.

Nasza działalność edukacyjna wpisuje się w społeczną działalność Kościoła katolickiego na rzecz otwartego, nowoczesnego i profesjonalnego zaangażowania się w edukację młodego pokolenia ku wartościom kultury, religii i demokracji.

Możemy powiedzieć, że Dom Spotkań staje się instytucją coraz bardziej dynamiczną (odpowiadającą na potrzeby rozwojowe młodych ludzi w polskim i międzynarodowym kontekście) oraz coraz bardziej profesjonalną i stabilną w zakresie kształtowania kapitału programowego i personalnego.

## Metody pracy

Prowadząc różnego rodzaju warsztaty dla młodzieży, staramy się wykorzystywać nowoczesne metody edukacji pozaformalnej ukierunkowanej na zintegrowany rozwój młodego człowieka na płaszczyźnie intelektualnej, emocjonalnej i duchowej w wymiarze społeczno-kulturowym.

Wykorzystujemy metodykę pracy pozaformalnej, opartej na pedagogice ignacjańskiej, która ma na celu integralny rozwój osoby. Uczymy się przez doświadczenie. Osoba z jej zdolnościami i doświadczeniami jest prowadzona ku poznawaniu wartości i w wolności dokonywania własnych wyborów.

Stosowane przez nas metody dotyczą edukacji w zakresie: praw człowieka, edukacji międzykulturowej i międzyreligijnej, edukacji dla pokoju, edukacji i wychowania obywatelskiego, tożsamości i integracji europejskiej, zaangażowania społecznego, wychowania patriotycznego, edukacji politycznej, budowania tożsamości obywatelskiej i społecznej młodych ludzi.

## Postać Angelusa Silesiusa

Johannes Scheffler, znany jako Angelus Silesius, urodził się i działał na terenie Dolnego Śląska. Doktor medycyny i filozofii, kapłan-mystyk, pisarz i poeta, zaangażowany na rzecz Kościoła i społeczeństwa. Jego polsko-niemieckie korzenie, czerpanie z europejskiej tradycji, związek z Wrocławiem, życie na styku różnych kultur oraz odważne szukanie tego co wspólne dla wszystkich ludzi, niewątpliwie są inspiracją dla misji naszego Domu Spotkań, który nosi jego imię.

## Nasze sukcesy i zadania

Możemy się pochwalić kilkoma nagrodami i wyróżnieniami. Poniżej wymienię te z ostatnich pięciu lat.

W 2003 roku, w piątej edycji ogólnopolskiego Konkursu na „Najlepszą Inicjatywę Obywatelską Pro Publico Bono” Dom Spotkań im. Angelusa Silesiusa otrzymał Nagro-

dę Główną dla organizacji o zasięgu regionalnym. Kapituła Konkursu nagrodziła nas za projekt edukacyjny „Silesius dla Szkół, czyli mini spotkania o maxi sprawach”, który realizowaliśmy przy zaangażowaniu ponadgimnazjalnych szkół wrocławskich.

W 2004 roku polsko-niemiecki projekt Domu Spotkań i Hegau Boden-See-Seminar z Konstancji pt. „Polacy i Niemcy we wspólnej Europie” został wyróżniony przez Polsko-Niemiecką Radę Młodzieży w ramach konkursu Polska i Niemcy Wspólnie w Europie.

W 2008 roku, został wyróżniony projekt „Cyber – ręka lidera. Wspieranie liderów społecznych przemian w Polsce”, realizowany przez Dom Spotkań w partnerstwie m.in. ze Stowarzyszeniem TRATWA oraz Towarzystwem Edukacji Otwartej. Projekt został wyróżniony nagrodą „Jaskółka Rynku Pracy 2008”.

Niewątpliwie jednym z wyzwań obecnego czasu staje się dla Domu Spotkań współpraca ze Wschodem oraz tzw. promowanie edukacji globalnej. Bardzo ważna jest współpraca z krajami basenu Morza Śródziemnego i Bliskiego Wschodu (Izrael, Egipt). Promowanie dialogu międzykulturowego i międzyreligijnego.

Na wieczornym bankiecie zorganizowanym z okazji jubileuszu piętnastolecia DAS-u, byli obecni przedstawiciele Urzędu Marszałkowskiego i Urzędu Miasta Wrocławia, prowincjał o. Krzysztof Dyrek, byli dyrektorzy DAS-u: o. Janusz Śliwa i o. Krystian Sowa (nie mogli być obecni o. Andrzej Sarnacki i o. Norbert Frejek), oraz wielu przedstawicieli organizacji edukacyjnych, z którymi współpracujemy, i wielu zaproszonych gości związanych z Domem Spotkań.

Jubileusz 15-lecia DAS-u był okazją, by podziękować wszystkim za współpracę i pomoc, jaką otrzymaliśmy. Osoby szczególnie związane z Domem Spotkań wyróżniliśmy dyplomami uznania. W tym miejscu chcę szczególnie podziękować byłym dyrektorom DAS-u za zaangażowanie w tworzenie i rozwój tego dzieła oraz za pomoc Prowincji. ■

ĆWICZENIA DUCHOWNE TRZEBA DOSTOSOWYWAĆ DO WŁAŚCIWOŚCI OSÓB PRAGNĄCYCH JE ODPRĄWIĆ, A MIANOWICIE DO ICH WIEKU, WYKSZTAŁCENIA LUB ZDOLNOŚCI

CD NR 18

# Powiew Ducha...

## O Manresie słów kilka

sch. Zbigniew Szulczyk SJ

**W**iem, że artykuł jest długi, ale przynajmniej zacznij, może warto...

Z pewnością szedłeś kiedyś całkiem łagodną górską dróżką z grupą przyjaciół. Widziałeś przepiękny krajobraz skąpanych w słońcu majowych gór i zachwyty wypełnił cię obejmując każdą część twojego ciała i duszy. Idąc spokojnie wśród jałowców, przesiąkałeś ich lekkim i łagodnym zapachem i pomału zmierzałeś z przyjaciółmi ku szczytowi. Doszłście na polanę i staliście obok siebie w nieukrywanej zadumie i zachwycie nad pięknem przyrody... i czułeś jak łagodny powiew musnął twoją twarz. Patrzyłeś na swoich towarzyszy i wymowne spojrzenie zdradzało, że mają to samo doświadczenie.

Jest coś takiego, jak w powyższym opisie, że stoi się ramię przy ramieniu z bliskimi osobami i doświadcza się czegoś wspólnie, na przykład powiewu wiatru. Doświadcza się powiewu wiatru, ale też wiatru Ducha przez poruszenia, pragnienia, przez wezwanie do czegoś. Czegoś takiego doświadczyliśmy i doświadczamy w pewnej grupie jezuitów skupionych wokół dzieła zwanego Manresą.

### O Manresie słów kilka

Cóż to jednak jest? Zaczynając od początku, były to pamiętne dni rekolekcji wielkopostnych w 2007 roku w naszej Wyższej Szkole Filozoficzno-Pedagogicznej „Ignatianum” w Krakowie pod tytułem „Uwol-

nić serce”, na których gościliśmy zacnego jezuitę z Nowego Sącza – Fabiana Błaszkiwicza (pseudonim operacyjny DJ Fabs). Co tu dużo mówić... rekolekcje dały dość mocnego kopa naszym studentom i jeden z „naszych” wszedł na aulę rekreacyjną, gdzie „przypadkiem” było kilku innych chłopaków, którzy byli włączeni w tychże rekolekcji organizację, i z pewną dozą właściwej sobie dobitności i dosadności zwrócił się plus minus takimi słowami do tychże tam spoczywających: „No kurde, zróbmy dla nich coś więcej”. Co ciekawe

---

## Manresa to grupa kolegów i koleżanek, z którymi mówi się nie tylko o religii, ale i o nowym filmie, o dobrej muzyce czy o książce, którą warto przeczytać

---

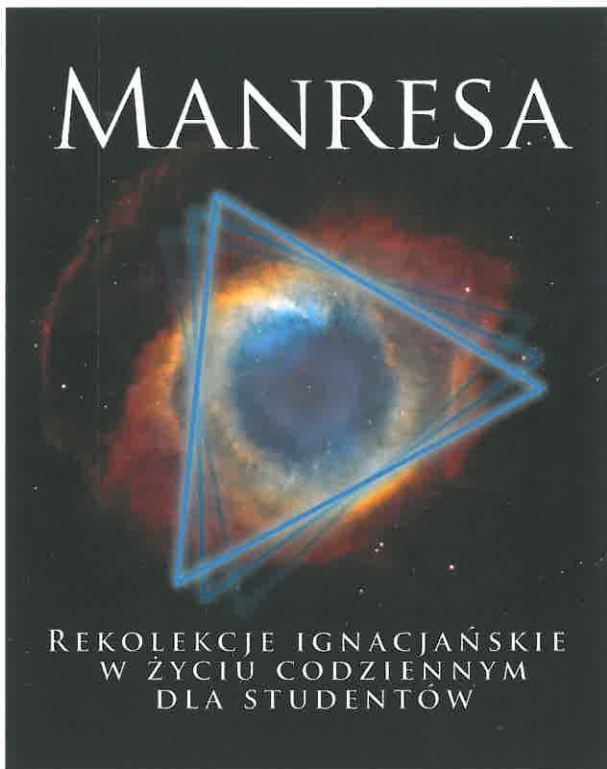
w tejsze właśnie chwili na aulę zająć raczył także nasz duchowny o. Artur Wenner, który się w ową rozmowę włączył i wywiązała się dość długa i ciekawa dyskusja. Myśl ta nie była wyłączną własnością jednej osoby... powiew Ducha poruszył kilka serc... Tak oto, nieco na wariackich papierach,



ostatniego dnia rekolekcji prowadzący zaprosił wszystkich chętnych na spotkanie, które miało odbyć się tydzień później i na którym mogliby kontynuować w życiu to, co przeżyli na rekolekcjach. Było to bardzo ważne, bo dało strategiczny czas siedmiu dni na obmyślenie planu działania... i trzeba było znaleźć kogoś, kto to pociągnie...

Odnosnie do pierwszej sprawy: po rozeznaniu dość jedno-myślnie zapadła decyzja, żeby iść w kierunku Ćwiczeń Duchowych, czyli tego, co jest nam najbliższe i najdroższe. Odnosnie do drugiej... hmm... tu już na planie, pomaału gdzieś w zarysach zaczyna się pojawiać jak za mgłą moja skromna osoba... bardzo pomaału i jeszcze ospale... Więc się zastanawiali kogo w to zaangażować i pojawiały się nazwiska bardzo ciekawych jezuitów, z jednym tylko mankamentem... nie mogli. Albo już byli w coś dość mocno zaangażowani, albo niedługo wyjeżdżali, albo były jeszcze inne powody... no i co tu robić? Gdzieś tam jeszcze jak światełko w tunelu pojawiło się pewne imię zaczynające się na bardzo szlachetną, ostatnią w języku łacińskim literę alfabetu (patrz podpis pod artykułem)... No i zaproponowano mi, abym czuwał nad grupą porekolekcyjną od strony organizacyjnej (bo tak się wtedy ona nazywała. Od października 2008, gdy startowaliśmy w nowym roku akademickim, nazwaliśmy to dzieło Manresą), żeby pilnował kontaktu z przełożonymi, dogrywał spotkania i ogólnie czuwał nad całością, a od strony duchowej tak jak inni, czyli przygotowywał punkta, konferencje i prowadził grupkę dzielenia. No i cóż... Jest taki kawał o jezuitskim posłuszeństwie: „Jak muszę to bardzo chętnie...” ale nie musiałem i byłem tego świadomy (osoba, która ze mną

o tym rozmawiała, pozostawiła mi ogromną wolność) i trochę w ciemno, ale się zgodziłem. Tak oto coś zawiąło w sercach kilku jezuitów i powstało dzieło, które trwa do dzisiaj.



## Co robimy...

No właśnie, ale jak trwa i co się tam dzieje? Jak już wspomniałem, trwa do dziś i ma się całkiem nieźle... Struktura jest bardzo prosta. Spotykamy się po Mszy WAJ-owej (Wspólnota Akademyckiej Jezuitów), na którą kto chciał, to przychodził, kto chciał mniej, to przychodził rzadziej, a kto nie chciał, czy nie mógł, to nie przychodził. Potem była krótka (no dobra... czasem do 30 minut, ale staraliśmy się do 15-20) konferencja w duchu dzielenia się swoim doświadczeniem, którą prowadził jeden z naszych jezuitów. Na koniec dawaliśmy dwa punkta do medytacji ignacjańskiej do przemodlenia trzy razy w tygodniu po pół godziny. Potem było dzielenie w grupkach:

eSjot (czyli jezuita; stawiane po nazwisku SI lub SJ oznacza jezuitę – patrz podpis pod tytułem) i kilka osób. A po dzieleniu wspólnotowe spotkanie (raczej przy herbacie niż kawie) w jednej z sal w WAJ-u. Tak ciągnęliśmy przez półtora roku. Na początku, czyli po owych rekolekcjach w 2007 roku do końca roku akademickiego, przerabialiśmy książkę „Obudzić serce” o Pawła Kosińskiego SI. W następnym semestrze zastanawialiśmy się, co zrobić i poszliśmy w kierunku Ćwiczeń Duchowych: zaczęliśmy Fundament, a obecnie jesteśmy po Pierwszym Tygodniu przemodlonym w drugim semestrze.

### Po owocach poznacie...

Tak się to rozwijało przez ten średnio długi czas. Jak można to dzieło ocenić? Według słów Ewangelii: „Po owocach poznacie”... jak owoce dobre, to i drzewo dobre, a jak śliwki robaczywki czy jabłka nadgnite, to i drzewo kiepskie... Jeżeli osoby, które są w Manresie, rozwijają się i coś im to daje, to jest to dzieło Boże, a jeżeli nie, to cóż... Co więc piszą o nim jego członkowie?

„Dzięki spotkaniom poznałam naprawdę wyjątkowych ludzi i jakoś znalazłam swoje miejsce w Krakowie. Jednak nie to jest w tym wszystkim najważniejsze... Poprzez uczestnictwo w Manresie odnalazłam Boga, którego gdzieś tam zgubiłam w swojej codzienności, i nauczyłam się, że jeżeli w moim życiu będzie dla Niego miejsce, to na wszystko znajdę czas.” *Agnieszka*

W Piśmie Świętym jest napisane, żeby oprzeć się na świadectwie dwóch lub trzech... mamy cztery świadectwa:

„W Manresie więcej poznałem Pana Boga, stał mi się jakoś bliższy. Manresa to też jakby uczestnictwo w zmaganiach z wiarą innych jej członków – dzięki niej zrozumiałem jak wiara nas wszystkich jest żywa, jak bardzo wymaga nieustannej pielęgnacji i troski. Manresa to w końcu grupa kolegów i koleżanek, z którymi mówi się nie tylko o religii, ale i o nowym filmie, o dobrej muzyce czy o książce, którą warto przeczytać.” *Mateusz*



foto. Paweł Szwiański SJ

Zobaczmy, co o tej grupie mówi też Ewa:

„Bardzo konkretnie zobaczyłam, że Bóg działa w moim życiu. Rok temu byłam na rekolekcjach i robiłam tam notatki, niedawno je przeczytałam i odkryłam, że to, co wtedy nie podobało mi się w moim życiu udało mi się zmienić bez większego wysiłku. Tak się stało, że ludzie, których spotkałam, byli drogowskazami”.

Podstawową formą modlitwy jest medytacja, o której trochę więcej pisała Aneta:

„Medytacja to trudna forma modlitwy. Jednak podjęcie wysiłku owocuje poznaniem prawdy o samym sobie i naszej relacji z Bogiem. To podróż w głąb siebie, a przede wszystkim odkrycie Boga Żywego, walczącego o nas i otaczającego nas miłością. To również odkrycie przestrzeni pozostającej poza zasięgiem naszego umysłu. Medytacja to niezwykła duchowa wędrówka – warto na nią wyruszyć!”

Cóż. Nic dodać, nic ująć... Pchnęliśmy ten apostolat w duchu dużej wolności. Jak Pan Bóg będzie chciał, żeby się utrzymał, to się utrzyma, a jak nie (choćby miało to być dzieło tylko na rok czy dwa), to też OK. Widocznie jednak chce, żeby jeszcze trochę sobie podziałało...

Cóż jeszcze mogę napisać. Chyba jeszcze to, co mnie osobiście Manresa dała... a dała wiele. Tak po ludzku, po prostu bar-

---

**Medytacja to trudna forma modlitwy. Jednak podjęcie wysiłku owocuje poznaniem prawdy o samym sobie i naszej relacji z Bogiem**

---

dziej się otworzyłem na ludzi i nauczyłem się mówić o trudnych rzeczach do grupy osób, których za bardzo nie znałem (przynajmniej na początku). Co tu ukrywać: gdy miałem moją pierwszą konferencję (miała trwać dwadzieścia minut), to przygotowywałem się chyba z 8 godzin, nie mówiąc o nogach z waty i tremie. A teraz to już duży luz. Bardzo ubogacające było rodzenie w bólach konferencji i punktów – czyli wprowadzeń do modlitwy (zanim się przemyślało, przemodliło, pogadało z kimś, pokazało duchownemu, poprawiło...) – trzeba było sięgać do korzeni swojej wiary, żeby coś fajnego i autentycznego przekazać innym i to było super. Jeszcze ostatnia sprawa, która jak dla mnie była najważniejsza: osobiste dzielenie się swoimi doświadczeniami w grupkach. Uczestnicy tych rekolekcji w życiu codziennym mówili o tym jak przeżywają swoją wiarę, jak się coś dzieje w ich wnętrzu i jak ich Pan Bóg tą drogą prowadzi (co nie zawsze było łatwe), i po prostu o tym, jak Go spotykali.

**Wiatr wieje tam gdzie chce...**

Wiaterek zawiął i odczuwaliśmy to szczególnie na naszych spotkaniach jezuitów. Zbieraliśmy się w pięciu (w porywach do siedmiu) z naszym ojcem duchownym. Bardzo fajne było doświadczenie wspólnego rozeznawania. Każdy lub przynajmniej większość z nas miała jakieś pragnienia, poruszenia, jakieś przemyślenia czy obserwacje i gdy się tym dzieliliśmy, jakoś dziwnie się to układało w całość... Jakby jeden powiew wiatru dotknął kilku serc...

Myślę, że więcej nie trzeba pisać, a artykułik ten zakończę słowami z Pisma Świętego: „Wiatr wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża. Tak jest z każdym, który narodził się z Ducha (J 3, 8)”. ■

# O duchowości i Ćwiczeniach ignacjańskich

sch. Jakub Garčár SJ



for. Mateusz Konopiński SJ

**H**asła „ćwiczenia duchowe” lub „re-kolekcje” wywołują wyobrażenie zamkniętego miejsca i oderwania się od otaczającego świata. Po okresie rekolekcyjnej izolacji wracamy na stare tory codzienności. W ten sposób doświadczenie rekolekcji staje się tylko wspomnieniem pięknego przeżycia. Połączenie tego doświadczenia z rzeczywistością naszego życia – zerowe. Spróbujmy zobaczyć to wydarzenie w trochę innym świetle i znaleźć odpowiednie miejsce dla Ćwiczeń Duchowych i rozeznawania duchowego w podejmowaniu codziennych decyzji.

Ćwiczenia Duchowe świętego Ignacego, dawane i żywe w Kościele już prawie pięćset lat, mogą stać się dużą pomocą dla tych, którzy chcą pogłębiać relację z Bogiem. Ale warunkiem ich skuteczności jest dostosowanie przez dającego Ćwiczenia – świadomego bogactwa duchowości istniejących

w Kościele – konkretnych rekolekcji do możliwości i charakteru rekolektanta. Dzisiejszą rzeczywistość charakteryzuje brak zaufania w kwestiach duchowych oraz selektywne podejście do duchowości i – szerszej – do wiary jako takiej. Jest to zrozumiałe, ponieważ „rynek” (choć na razie może jeszcze trochę tabuizowany) oferuje szukającym naprawdę wiele możliwości: okultyzm, reinkarnacjonizm, kilka ciekawych (często wschodnich) filozofii życia, łatwiejsze i trudniejsze ćwiczenia medytacyjne, na mistyce chrześcijańskiej kończąc.

Poszukujący, odpowiadając na te propozycje, często czują się zmęczeni i zniechęceni. Ostatecznie nie znajdują tego, czego szukali – spełnienia duchowego.

Prowadzący rekolekcje powinien być tego świadom. Powinien pamiętać, iż także w ramach chrześcijaństwa nie wszyscy w relacji z Bogiem podążają tą samą drogą. Znajomość stylu życia jest konieczna do zrozumienia duchowości. Zadaniem zarówno prowadzącego rekolekcje, jak i samego rekolektanta, jest znaleźć taki styl, który odpowiada, uzupełnia i wspiera konkretne powołanie. Czasami nawet kosztem tego, że rekolekcje okażą się niewłaściwą drogą w formacji duchowej.

## Duchowość kontra nie-duchowość

Ludzie mają różne wyobrażenia o znaczeniu pojęcia „duchowość”. Warto na początku przypomnieć, że duchowość nie prze-



ciwstawia się wartościom materialnym. Jej zaprzeczeniem jest raczej duchowość nijaka, pustka, rezygnacja z poszukiwań prawdziwego sensu życia. Nie chodzi o to, żeby ludzi przeobrazić w niematerialne istoty podobne do aniołów. Jesteśmy ludźmi i duchowość nasza powinna nas jeszcze bardziej ucłowieczyć – dać siłę, harmonijnie rozwijać nasze relacje z Bogiem i stworzeniem, w prawdzie i wolności. To Chrystus, Bóg i człowiek, jest jedyną i skuteczną duchowością, która właśnie w nim – prawdziwym człowieku – nie może być czymś niematerialnym.

Mimo że istnieje tyle duchowości, ilu ludzi mieszka na ziemi, to jednak w Kościele tradycyjnie wyróżniano trzy główne nurty: duchowość monastyczną, psychologiczno-kontemplacyjną oraz apostołską. Wszystkie kładą akcent na łaskę Bożą, modlitwę, życie sakramentalne, liturgię, zjednoczenie z Kościołem, rozwój apostołstwa charytatywnego, pojednanie i zainteresowanie ludem Bożym. Każda z nich podkreśla w sposób szczególnie jakiś wybrany element, ma swoje niuanse, klimat, styl.

Duchowość monastyczną charakteryzują przede wszystkim wspólnoty braci, jakimi są na przykład kartuzi, trapiści czy benedyktyni, ale jest to również duchowość dziewic i wdów. Duchowość psychologiczno-kontemplacyjna jest typową duchowością karmelitów, klarysek, pasjonistów czy dominikanów, prawdopodobnie też franciszkanów. Należy też tu zaliczyć wspólnoty charyzmatyczne czy inne grupy modlitewne.

### Duchowość apostołska – być w świecie, ale nie być ze świata

Duchowość apostołska typowa jest dla świeckich, kapłanów, wspólnot odznaczających się „nieregularnym stylem życia”, w tym także jezuitów – ich ignacjański cha-

ryzmat najlepiej wpisuje się w tę właśnie duchowość. Kluczowym hasłem duchowości apostołskiej jest „kontemplatywność w działaniu”, zaangażowanie w sprawy świeckie integralnie związane z życiem Chrystusa. Właśnie ta cecha duchowości apostołskiej jest jej najtrudniejszym aspektem. Niełatwo jest żyć w świecie i zarazem nie być z tego świata. O wiele prostsze wydaje się wyjść wysoko w góry i żyć w oderwaniu od świata, niż trwać w nim.

Od kiedy Ignacy zaczął dawać swoje Ćwiczenia, nie wahał się przyrównywać ich do ćwiczeń fizycznych. Ćwiczenia są prawdziwym treningiem uwagi, refleksji, zdolności do skupienia się, medytacji, kontemplacji, modlitwy słownej i modlitwy serca. Przygotowują człowieka do prawdziwie wolnych decyzji, uwalniają od pragnień egocentrycznych i w ten sposób pozwalają znajdować Boga i Jego wolę. Zwracają uwagę na wartość osobistych wyborów. Decyzje stoją w samym centrum duchowości apostołskiej; liczy się nie czas spędzony na modlitwie, ale jakość decyzji podjętej w odniesieniu do tożsamości, powołania oraz misji. Poważne traktowanie decyzji jest także istotnym efektem Ćwiczeń ignacjańskich, które pomagają pozbyć się nieuporządkowanych przywiązań i pragnień: oczyszczać się, żeby móc w pełni odpowiedzialnie decydować o życiu i relacji z Bogiem.

Czytać lub słuchać o życiu a samemu żyć naprawdę – to nie to samo. Analogiczna jest różnica między wysłuchaniem czy przeczytaniem tekstu Ćwiczeń Duchowych świętego Ignacego a prawdziwym wewnętrznym wysiłkiem przy odprawianiu takich ćwiczeń. Jeżeli zatem czujesz, że twoje życie podąża drogą duchowości apostołskiej, to może warto sięgnąć po tę właśnie propozycję. ■

MAGISTERKA TO MOŻLIWOŚĆ POZNANIA, JAK ŻYJĄ NIE TYLKO JEZUICI W RÓŻNYCH MIEJSCACH NA ŚWIECIE

# Wśród czarnych braci i sióstr w Nowym Jorku

sch. Mateusz Janyga SJ



Jest godzina 6.15. Pora wyruszyć do szkoły. Dzisiaj nie jadę metrem, bo jest bardzo ładna pogoda, więc warto się przesiąść na rower. To tylko kilka minut od Brooklynu, gdzie jest moja szkoła. Zanim przejadę przez most Brooklyński, mijam Nativity School, gdzie pracuje Krzysiek Głowacki, jezuita, który też przyjechał na magisterkę do Nowego Jorku. „Krzysiek, take it easy today!” – wysłałam mu kilka dobrych myśli. Potem kilka ulic przez bardzo barwne i ruchliwe Chinatown, gdzie Chińczycy rozkładają swoje stragany i otwierają sklepiki, rozmawiając przy tym bardzo ekspresyjnie. Mój ulubiony odcinek to przeprawa

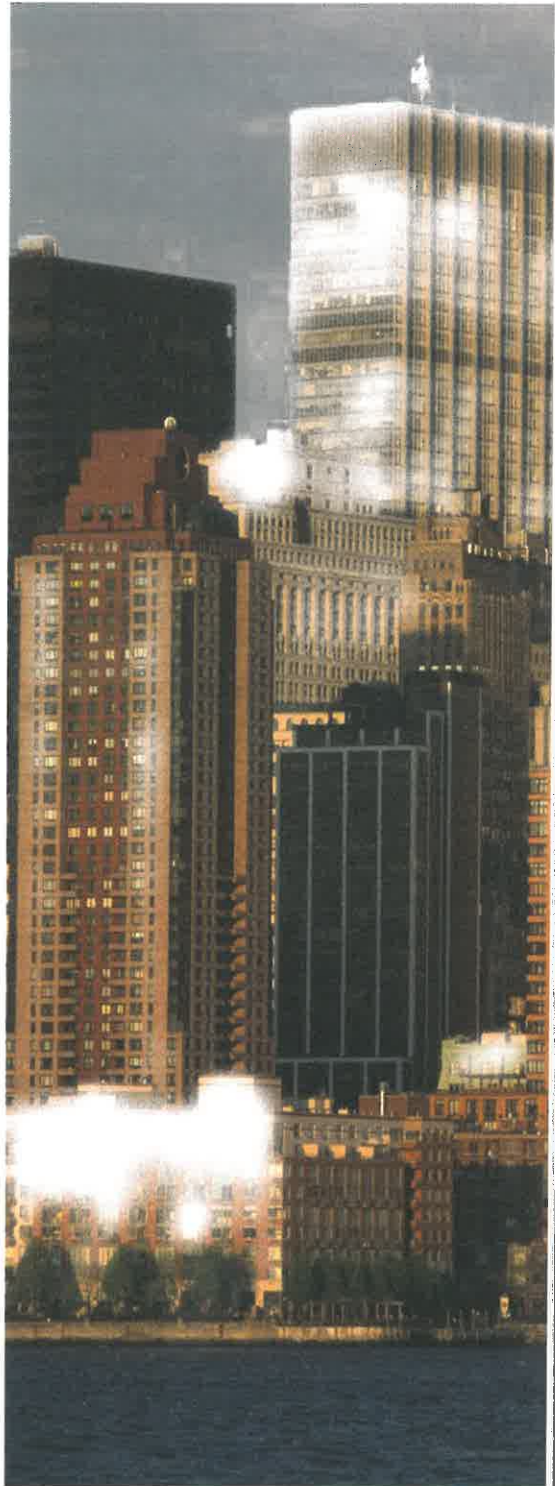
przez most. Staję na samym środku, by tylko zmówić „dziesiątkę” i przez chwilę kontemplować wieżowce Manhattanu. Jestem w szkole na czas. Akurat mam kilka minut, żeby się przebrać i już jestem w naszej szkolnej „kaplicy”, czyli w klasie Michaela Corcorana, amerykańskiego jezuity, który uczy tutaj razem ze mną i jest kapelanem szkoły. Po wspólnej Eucharystii wraz z kilkoma innymi nauczycielami mamy chwilę, żeby się pośmiać i razem odliczyć dni do piątku. Tymczasem dzieci schodzą na śniadanie do szkolnej stołówki. W tym czasie drukuję wszystko, czego potrzebuję na dzisiejsze lekcje matematyki

i religii. Potem siadam w swojej klasie razem z Lisą (jedna z nauczycielek, razem jesteśmy wychowawcami 6 klasy dziewczyn) i czekamy na dzieci. Ostatnie minuty ciszy. Nagle eksplozja wszelkich dźwięków, jakie może wydać gromada afroamerykańskich i latynoskich dzieci biegnących po schodach i przebijające się przez to wszystko słowa Lisy: „Matt, they are coming! Kolejny dzień w Brooklyn Jesuit School rozpoczęty!”

Tak mniej więcej wygląda początek mojego dnia w BJP, jezuickiej szkole dla ubogich dzieci imigrantów. Są tutaj dzieci w wieku od 10 do 14 lat. Szkoła jest koedukacyjna, chociaż dzieci są podzielone na osobne klasy chłopców i dziewczyn. Razem mają lunch, przerwy i zajęcia popołudniowe. Dzień szkolny jest bardzo długi, bo kończy się ok. 17.00. Wszystko dlatego, żeby dzieci odrobiły zadania w szkole, bo często nie mają na to warunków w domu, a także, żeby jak najdłużej były z dala od patologicznych środowisk, w których żyją. Integralną częścią szkoły jest miesięczny obóz poza Nowym Jorkiem, gdzie dzieci uczą się wzajemnego szacunku i odpowiedzialności.

Magisterka w Nowym Jorku to szkoła zmagania się z językiem, z zaprowadzeniem dyscypliny w klasie, dostosowywaniem się do życia w wielonarodowościowym społeczeństwie. To godziny spędzone nad przygotowaniem lekcji, które rzadko udaje się przeprowadzić zgodnie z planem, krótko mówiąc: nauka cierpliwości w stosunku do samego siebie, a przede wszystkim uczenie się zaufania Panu. Poza szkołą, to również dobra okazja zobaczenia, jak działa amerykański system edukacyjny, szczególnie ten jezuicki, który od lat realizują nasi bracia w gęstej sieci szkół średnich, collegów i uniwersytetów, jakie prowadzą w USA. To poznanie, jak żyją tutejsi jezuici i jak funkcjonują nasze wspólnoty. I wreszcie możliwość kontaktu z ogromnym krajem i kulturą, które dla wielu na świecie są wyznacznikiem postępu. Cieszę się, że mogę tutaj być.

Jest godzina 6.15. ■





MAMY TYLE NARZĘDZI, BY SIĘ SPOTKAĆ, A TAK CZĘSTO TRUDNO NAM PÓJŚĆ W GŁĄB, BY SPOTKAĆ DRUGIEGO CZŁOWIEKA

# Spotkanie

sch. Paweł Rakowski SJ

Nie wiem od czego zacząć - wstęp zawsze wprawia w zakłopotanie piszącego. Wprowadzić w temat tak, by nie zdradzić wszystkich swoich myśli nie jest łatwo. Szybki przekaz informacji w dzisiejszym świecie wpoił nam zasadę: minimum słów – maksimum treści. Nikt z nas nie jest od tego wolny. Używanie zbyt wielu słów uważamy za stratę czasu. Ucinamy nasze myśli, segregujemy je, układamy je na odpowiednich półkach, wkładamy w szczelne opakowania, niektóre chowamy w sejfie, by nikt ich nie odkrył. Tego samego często wymagamy od naszych rozmówców. Lepiej, by od razu powiedzieli nam o co chodzi, byśmy nie tracili czasu na wysłuchiwanie ich zawiłych przemyśleń i przeżyć. W naszych rozmowach stajemy się przekazicielami krótkich informacji: prośby, nakazy, rozkazy, komunikaty. Posiadamy internet i telefony komórkowe. Nigdy jednak nie nauczą nas one tego jak rozmawiać z drugim człowiekiem. Mamy tyle narzędzi, by się spotkać, a tak często trudno nam pójść w głąb – i przejść ponad elektronicznym komunikatorem. Przejść ponad, by naprawdę spotkać drugiego człowieka.

Kilka miesięcy temu wpadła w moje ręce książka Ryszarda Kapuścińskiego pod znanym tytułem: „Cesarz”. Zaraz po niej przeczytałem „Szachinszacha”, „Busz po polsku”, a teraz czytam „Kirgiz schodzi z konia”. Nasz polski reportażysta oddał głos tym, których spotkał podczas swych podróży. Zrobił to, co tak trudno przychodzi każdemu człowiekowi: potrafił wysłuchać drugiego. Nawet więcej – dał sobie

czas na to, by zrozumieć świat, w którym żyli inni ludzie. W ten sposób historię ostatniego cesarza Etiopii Hajle Sellasje poznajemy z ust jego urzędników, służących, a upadek reżimu Mohammeda Reza Pahlawi w Iranie komentują sami Irańczycy, których Kapuściński spotyka w swoim hotelu oraz na targowiskach. Można się rozpisywać o talencie pisarskim autora, lecz moim zdaniem tym, co naprawdę wyróżnia go spośród innych są jego wyjątkowe spotkania z ludźmi, którzy pochodzili z różnych zakątków świata. Słuchając ich opowiadań ma się wrażenie, że różnice geograficzne, kulturowe i religijne są tylko zewnętrzną przykrywką – w głębi duszy ludzie różnych czasów i miejsc są sobie bardzo bliscy. Są podobni, lecz nigdy tacy sami. Szukają odpowiedzi na pytania, które stawiał sobie człowiek od wielu tysięcy lat. Kapuścińskiemu zależało na tym, aby jak najwierniej zapisać i przekazać świat drugiego człowieka. Czy mu się to udało? Nie wiem. Nigdy osobiście nie spotkałem ludzi, z którymi autor rozmawiał. Poznałem ich jedynie na kartach jego książek. Zostawili na nich swój ślad. Na zawsze będzie to tylko ślad. Jednakże ślad, który niejednemu dał sporo do myślenia.

Wyobraźmy sobie, że żyjemy w małej wiosce, w której mieszka niewiele ponad czterdzieści osób. Po wielu latach przybywają do nas nieznanymi nam ludźmi. Co możemy zrobić? Możemy się przed nimi schować, oddzielić od nich i wybudować mur otaczający nasze domy. Możemy również chwycić za broń i rozpocząć z nimi wojnę. Pozostaje jeszcze jedna możliwość



fot. Paweł Rakowski(S)

– możemy z tymi ludźmi zacząć po prostu rozmawiać. Jak pokazuje historia plemion, narodów, państw, to właśnie spotkanie i dialog są najtrudniejszym wyzwaniem ludzkości. Nie brakuje nam cmentarzy wojennych, pozostałości po bitwach, pól walk znaczących ludzką krwią. Na szczęście nie brakuje również miejsc dialogu – to są rynki całego świata, targowiska i szlaki handlowe, uniwersytety i akademie. Podobnie dzieje się (choć na mniejszą skalę) w miejscach, w których żyjemy. Czasami łatwiej zamknąć się w pokoju i odseparować na długi czas od innych. Kłótnie niejednokrotnie zapełniają naszą przestrzeń społeczną. Jednak to nie jedyny obraz naszych relacji. Przecież kawiarnie i restauracje są wypełnione ludźmi, a nasze samochody, pociągi i samoloty przewożą dziennie miliony pasażerów, którzy udają się na jakieś spotkanie.

Przedemną kolejne podróże z Ryszardem Kapuścińskim. Moim życzeniem pozostaje tylko to: by jego książki zainspirowały nas do spotkania z drugim człowiekiem. Tam gdzie żyjemy, pracujemy i odpoczywamy. Dużo łatwiej jest kochać ludzkość niż pojedynczego człowieka. Ile byśmy nie czy-

tali książek na temat człowieka i ile byśmy nie obejrżeli na jego temat filmów – to i tak nigdy nie będziemy prawdziwymi ludźmi, jeśli wpraw nie odważymy się wyruszyć w drogę na spotkanie z drugim człowiekiem. To od nas zależy, czy będziemy budować mury, rozpoczynać wojnę, czy prowadzić dialog.

Na koniec proponuję krótką lekturę jednego z wierszy naszego reportażysty:

#### in memoriam A. C.\*

*Puste miejsce?*

*przecież widzę*

*linia głowy*

*ramion bioder*

*mimo wieku smukła sylwetka*

*patrzy*

*duże ciemne oczy*

*reszta jest powietrzem*

\* Ryszard Kapuściński, Busz po polsku. Notes, Czytelnik, Warszawa 1988, s. 152.

COKOLWIEK BĘDZIESZ W ŻYCIU ROBIŁ, JEŚLI BĘDZIE TO TWOJĄ PASJĄ, NIGDY NIE BĘDZIESZ PRACOWAŁ

# Pomimo wszystko...

sch. Wojtek Werner SJ



foto. Kamil Boberek SJ

Pewnego pięknego, słonecznego dnia jeden z bardziej lubianych i cenionych przeze mnie profesorów Politechniki Łódzkiej rzekł do mnie (parafrazując): „Cokolwiek będziesz w życiu robił, jeśli będzie to twoją pasją, nigdy nie będziesz pracował”. Piękne to były słowa i miło mi było ich wysłuchać zwłaszcza w świetle rozeznawanego wtedy powołania zakonnego. Czy istnieje bowiem jakakolwiek inna praca (zawód), do której lepiej pasowałyby te słowa?

Sami przyznacie, drodzy Czytelnicy, że perspektywa wykonywania „zawodu”, który jest powołaniem i pasją zarazem, jest niezwykle kusząca i potrafi napełnić radością serce każdego młodego człowieka.

A zatem, pracować i nigdy się nie trudzić. Pracować i otrzymywać nieustającą gratyfikację choćby z powodu samego zadowolenia z wykonywanej pracy. Nikogo „mam nadzieję, nie zdziwię stwierdzeniem, że główną i podstawową pracą każdej bez wy-

jątku osoby duchownej jest pomaganie ludziom na rzecz Królestwa Niebieskiego.

Chciałbym jednak zwrócić uwagę na jeden z podstawowych wymiarów naszej pracy, wymiar bodaj najbardziej wymagający i kosztujący немало trudu. Mam nadzieję, że niewielu spośród moich współbraci będzie tym zaskoczona, a tym którzy będą, hm...szczyrze współczuję. Jest nim nieustanna i niezwykle wymagająca praca nad Przyjaźnią z Tym, który mnie wezwał. Cóż bowiem może być ważniejszego, skoro całe swoje życie oddajesz właśnie Jemu, Chrystusowi.

Wielu, może niezbyt obytych w tym temacie, mogłoby teraz zaprotestować: „Jak coś tak oczywistego i podstawowego, jak relacja z Bogiem może być czymś najbardziej wymagającym w życiu zakonnika?”

Cóż można na tak postawiony zarzut odpowiedzieć? Może być i jest. Tyle.

Moim skromnym zdaniem to właśnie brak tej relacji jest najczęstszym powodem frustracji, niezadowolenia czy „wypalenia się” na swojej kapłańskiej czy zakonnej drodze.

Należy jednak w tym miejscu zaznaczyć, że praca, której głównym narzędziem jest modlitwa, jest na tyle trudna, że bez żadnych wątpliwości możemy ją nazwać walką, bitwą, batalią, a nawet może i wojną – tą najważniejszą, toczoną każdego dnia w życiu zakonnika. Pismo Święte dokładnie

---

## Wymiar modlitewny to wymiar bitewny w życiu każdego zakonnika

---





fot. Zbigniew Jabrzykowski S

wskazuje nam, kim jest osoba duchowna i jakie jest jej posłannictwo: Stańcie więc [do walki] przepasawszy biodra wasze prawdą i obłókszy pancerz, którym jest sprawiedliwość, a obuwszy nogi w gotowość [głoszenia] dobrej nowiny o pokoju. W każdym położeniu bierzcie wiarę jako tarczę, dzięki której zdołacie zgasić wszystkie rozżarzone pociski Złego. Weźcie też hełm zbawienia i miecz Ducha, to jest słowo Boże – wśród wszelakiej modlitwy i błagania. Przy każdej sposobności módlcie się w Duchu! Nad tym właśnie czuwajcie z całą usilnością. (Ef 6, 14 – 18)

Przy każdej sposobności módlcie się w Duchu. Do tego również wzywa nas święty Ignacy, nasz pierwszy generał, ale przede wszystkim założyciel Towarzystwa Jezusowego, gdy znanym nam hasłem „szukać i znajdować Boga we wszystkim” mobilizuje każdego jezuitę do ciągłego zwracania się ku źródłu naszego powołania.

Modlitwa to przede wszystkim niekończąca się nauka polegająca na coraz to nowym poznawaniu Stworzyciela wszechrzeczy i najbliższego Przyjaciela zarazem. Dzięki tym spotkaniom każdy jezuita uczy się również spotykania z Drugim, całkowicie odmiennym od niego człowiekiem, po to, by potrafił mu bardziej i lepiej pomagać w jego osobistej sytuacji. Bez modlitwy bardzo łatwo jest utracić tę naturalną wzajemność na Drugiego – skarb i dar dla mnie.

Wymiar modlitewny to wymiar bitewny w życiu każdego zakonnika. Każde zwycięstwo o modlitwę i Boga czyni jego serce walecznym i męznym. Każda zaś przegrana powoduje, że praca w Winnicy Pańskiej staje się coraz bardziej uciążliwa i monotonna.

W tym miejscu koniecznie należy jeszcze dopowiedzieć o jednym bardzo istotnym wymiarze tej modlitewnej bitwy, która toczy się w naszym życiu. Mianowicie o walce Boga o mnie samego. Przedziwna i tajemnicza jest to rzecz, która mnie osobiście nieustannie zadziwia i za którą jestem Bogu niezmiernie wdzięczny. Jego zabieganie o mnie, zabieganie o nasze spotkanie czasem doprowadza mnie do zawstydzenia. Różnorodnymi bowiem środkami, nieraz bardzo wymyślnymi, posługuje się Bóg, by dotrzeć do głęboko zakotwiczonej w nas potrzeby bliskości z Nim.

To niezwykle pocieszające, czyż nie? Moje starania o Niego zdają się być niczym w porównaniu z tymi, które On stosuje wobec mnie.

Przy uświadomieniu sobie tej prawdy, nie trudno dojść do wniosku, że nasza praca jest przede wszystkim waleczną przygodą, o której marzy w gruncie rzeczy każde dziecko bawiące się ze swoimi rówieśnikami, biegające z szablą i pistoletem wetkniętym za pasek w spodniach. ■

WRAŻENIA I SPOSTRZEŻENIA SŁOWAKA PO ROKU SPĘDZONYM  
W „JAŚNIE WIELMOŻNEJ RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ”

# Jeszcze w Polsce nie zginęli

sch. Jaroslav Mudroň SJ

Gdy na obiedzie w naszym kolegium zjawiają się jacyś goście, to od roku do rytuału należy wskazanie im dwóch krępych, wysokich młodzieńców ze słowami: „Mamy tutaj i dwóch ze Słowacji...”. Będąc jedynymi obcokrajowcami w gronie scholastyków, moglibyśmy rzeczywiście czuć się jak dwa egzotyczne okazy, ale niezupełnie tak jest.

Moim pierwszym spotkaniem z „czymś polskim” był widok tablic rejestracyjnych – do mojej rodzinnej miejscowości nad zalew Zemplinská Šírava zmierzali liczni, także polscy turyści. Czarna tablica z białymi numerkami wyglądała dosyć dziwnie w porównaniu z naszymi białymi tablicami i czarnymi znakami na nich – zupełnie na odwrót. (Wyrażenie *na odwrót* powtórzy się tu zresztą jeszcze kilka razy). Drugim źródłem moich dziecięcych wyobrażeń na temat północnych sąsiadów były cotygodniowe autobusowe wyjazdy na zakupy do Polski. Sam nigdy w takiej wycieczce udziału nie brałem, ale często miałem z tych wypraw korzyść, kiedy moi znajomi przywozili mi takie brunatne, miękkie, klejące się do zębów cukierki – *krovki* (ó nie czytamy jak u, ale jak długie o). Tak zapoznałem się z pierwszym polskim produktem i nabrałem wrażenia, że w Polsce są ogromne targi pełne słodyczy.

Kiedy Słowak ze wschodniej Słowacji słyszy polszczyznę i jeszcze nie jest z nią wystarczająco osłuchany, musi się śmiać. Naprawdę, i to nie dlatego, żeby się chciał wyśmiewać z Polaków, ale dlatego, że słyszy niektóre słowa, które dobrze zna...

W okolicach Preszowa (Prešov) i Koszyc (Košice) używa się dialektu bardzo podobnego do języka polskiego; nawet akcent na przedostatniej zgłosce jest ten sam. Jednakże jest to gwara i jako gwara jest surowo tępiona i wypędzana ze szkół, z biur, z instytucji publicznych itp. Słowa takie jak: *brudny, sklep, kieszeń, chustka, chmura, urwać, pchać* są dla Słowaka zrozumiałe, ale jednocześnie ma on wrażenie, że pochodzą one (a szczególnie akcent, z jakim są wypowiedane) z ust niewykształconych, niekulturalnych ludzi ze wsi.

Z poprawnym językiem słowackim sprawa ma się tak, że w czasie budzenia się wielu świadomości narodowych w pierwszej połowie XIX wieku w ramach słowackiego ruchu narodowego zastanawiano się, jaki język byłby najbardziej odpowiedni dla Słowaków. Gwara wschodnia była pod wpływem języka polskiego i niemieckiego, dialekt zachodni zaś zawierał wiele słów czeskich. Najbardziej odrębny i swoisty był dialekt centralny z okolic Bańskiej Bystrzycy (Banská Bystrica), który z małymi zmianami stał się najpierw mową poetów i pisarzy, a następnie oficjalnym językiem Słowacji w pierwszej Czechosłowacji. Z tak oddziedziczonym przywiązaniem do idei „czystego” języka przykro jest mi słuchać takich „polskich” słów jak: *dach, sztuka, komputer, klasa, egzamin, kontynuować, interesować* itp., bo przecież istnieją ich „słowiańskie” odpowiedniki: *strecha, umenie, počítač, trieda, skúška, pokračovať, zaujímať*. Z drugiej strony gratuluję polszczyźnie, że odnalazła własne słowa

dla *automobilu, mobilu czy futbolu (samochód, komórka, piłka nożna)*. Jednocześnie jestem świadom tego, że rozwoju języka nie da się w sposób prosty ani zatrzymać, ani ukierunkować.

W szkole, głównie na historii, poznałem Polskę jako ciekawy kraj. Widziałem w podręczniku mapę Królestwa Polskiego, które sięgało od Bałtyku aż po Morze Czarne. Na lekcji historii dowiedziałem się, że Polska jako pierwszy kraj w Europie miała ustawę konstytucyjną, choć niestety krótko obowiązującą. W Polsce jako pierwszym państwie za żelazną kurtyną do parlamentu dostała się partia opozycyjna.

Sam nie wierzę, że naprawdę istnieje coś jako „cechy narodowe”, czyli cechy charakteru wspólne wszystkim członkom danej wspólnoty etnicznej. Jednak w naszej świadomości zawsze istnieje jakiś stereotyp podpowiadający nam, jak wygląda Niemiec, jak zachowuje się Włoch, w co ubiera się Amerykanin itp. Są to informacje uzyskiwane niekiedy na podstawie naszego doświadczenia, w czasie spotkań z innymi ludźmi. O Polakach na przykład mówi się żartobliwie, że można ich rozpoznać po czarnych spodniach i wąsach. Ponoć Słowaka można podobnie rozpoznać

po chińskich sportowych spodniach i reklamówce w ręce.

Innym źródłem mojej wiedzy o Polakach, według którego kształtowałem swój pogląd o nich, były doświadczenia moich znajomych, którzy jeździli do pracy za granicę. Na Zachodzie zawsze spotykali silną konkurencję – Polaków. Nasi północni sąsiedzi potrafili z reguły dobrze orientować w obcym środowisku i znajdować różne „dojścia”. Dlatego nie bez zazdrości byli określani jako *špekulanti* (kombinatorzy).

Wreszcie własny obraz Polaków mogłem sobie utworzyć po przybyciu do Krakowa na studia. Już w pierwszych miesiącach stwierdziłem, że naszych północnych sąsiadów tak do końca nie znamy. Niespodzianką dla mnie było to, że Polacy czują bliższą więź z Czechami niż ze Słowakami: w radiu nierzadko słyszę informacje z Czech, po Polsce trasę koncertową organizują czescy piosenkarze, w kinach pojawiają się czeskie nowości filmowe... Nawet i podstawowe polskie słowa takie jak: *mówić, słyszeć, zapomnieć, znać, spotkać, śniadanie* i inne są wspólne z językiem czeskim, a w słowackim brzmią zupełnie inaczej (*hovoriť, počuť, zabudnúť, vedieť, stretnúť, raňajky*).

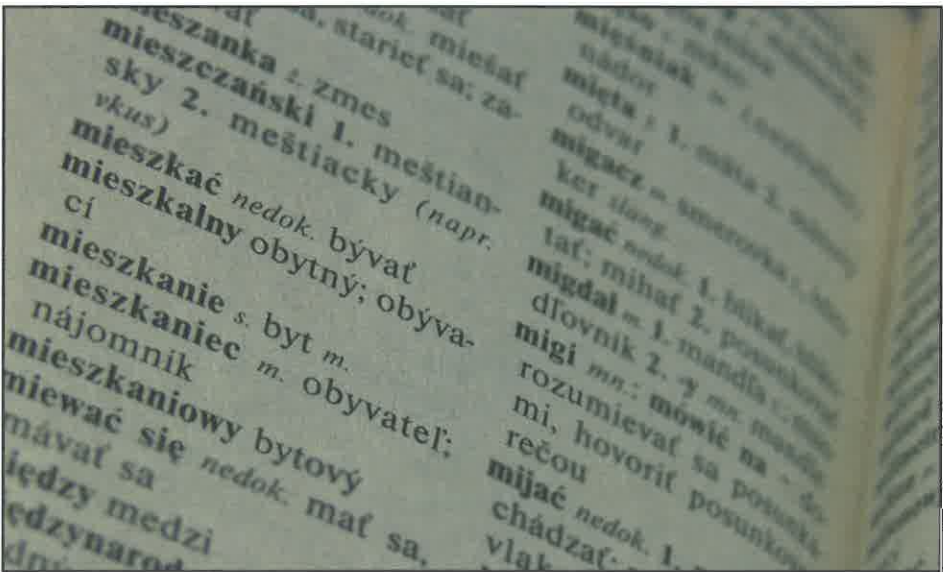


foto: Mateusz Konopirski SJ



Jeszcze co do kwestii języka, słyszałem z różnych stron tzw. „teorię zakonserwowania”, według której język czeski i słowacki pod naciskiem niemieckiego i węgierskiego „przestały się rozwijać” i drzemały sobie gdzieś między prostym ludem. W tym czasie, według tej koncepcji, język polski swobodnie się rozwijał i przeszedł przez różne modyfikacje. To miałoby wyjaśniać, dlaczego polski jest tak odrębny od dwu pozostałych, bliższych sobie języków. Bzdurność tej teorii tkwi w samym pojęciu „zakonserwowania” – po prostu nie ma niczego takiego jak stagnacja językowa. Język starosłowiański brzmi równie dziwnie dla Słowaka czy Czecha, jak dla Polaka. Podobnie jak istnieje archaiczna polszczyzna, tak też istnieje język staroczeski. Polszczyzna wykazuje nawet większą więź z językiem prasłowiańskim poprzez to, że dokładnie odróżnia głoski *y* oraz *i*. W języku słowackim i czeskim obie te samogłoski wymawia się jak proste *i*, a różni się je tylko w pisowni, co nota bene jest zmurą słowackich i czeskich uczniów, którzy muszą nauczyć się różnic w zapisie na przykład słów *ryba*, *pycha* czy *byt*, nie słysząc przy tym różnicy w wymowie.

Najkomiczniejsze w porozumiewaniu się Słowaka z Polakiem są „zniczeniowe przesunięcia”. Na mojej pierwszej Mszy w krakowskiej Bazylice NSPJ poproszono mnie o położenie na ołtarzu *puszki*... Ze zdziwienia nie zdążyłem powiedzieć nawet słowa. *Puszka*? W kościele? Na ołtarzu? Od razu zauważyłem, że słowo *puszka* chyba nie oznacza tego samego co słowackie, tak samo brzmiące *puška*. *Puška* znaczy po słowacku *strzelba*, *karabin*! Podobnie zdziwiłem się w szkole, kiedy usłyszałem, że metafizyka zajmuje się *bytem jako bytem*. Czy to oznacza, że bada architekturę? *Byt* po słowacki znaczy *mieszkanie*. Pozostawało mi tylko stałe sięgać po słownik i przekonywać się, że to, co rozumiem, na pewno rozumiem niewłaściwie.

Zacząłem konstruować sobie ciągi słów, które sprawiają mi kłopoty. Jeżeli na Sło-

wacji zobaczycie tablicę z napisem *Pozor pes*, nie znaczy to, że za płotem jest tylko *pozór* psa, ale na odwrót – że jest tam jak najbardziej rzeczywisty pies, na którego koniecznie trzeba *uważać*. A jeżeli powiecie Słowakowi: *Uważaj!*, zrozumie, że się ma zatrzymać, skupić i *rozmyślać* nad jakąś zagadką. Natomiast polskie słowo *pozór* tłumaczy się na słowacki przez *zdanie* a *zdanie* to po słowacku *veta*. Kiedy pewnego razu sprzątałem łazienkę w kolegium i na etykietce Domestosu przeczytałem, że jest *skuteczny*, znów się zdziwiłem, dlaczego piszą, że ten preparat jest *rzeczywisty* (*skutok* po słowacku to *uczynek*, a *skutočný* to *rzeczywisty*). Kiedy na Słowacji powiedzą wam *konečne* (wymawia się: koniecznie), nie bójcie się, że was zmuszają do czegoś *koniecznego* – znaczy to po prostu *wreszcie*. Ale jeżeli wy powiecie *Niekoniecznie tak musi być*, zrozumiemy to jako *Tak musi być bez końca*. *Konečný* znaczy *skończony* i w kościołach słowackich często słyszy się na początku modlitwy inwokację *nekonečný Bože* (czyta się to: niekonieczny Boże), czyli *nieskończony Boże*. Nie myślcie sobie, że wszyscy Słowacy są jakimiś filozofami, jeżeli powiedzą *Istota je istota*, ponieważ *istota* znaczy *pewność*, a *je* zamieniło się ze słowem *jest*. Na Słowacji nikt nie może was *popraviť*, ponieważ *poprava* jest tam zakazana prawem międzynarodowym – *poprava* znaczy *kara śmierci*. A jeżeli nasz premier *popiera* waszego, znaczy to, że mu *zaprzecza* – *popierať* i *popierać* brzmią prawie tak samo, a właśnie się wykluczają! Miejmy tylko nadzieję, że nasi dyplomaci też wiedzą o tej różnicy. Nie myślcie sobie, że na Słowacji rządzą zakonnicy, jeżeli będziecie słyszeli, że panuje u nas *zákon*, ponieważ *zákon* znaczy po słowacku *prawo*. Jeżeli ktoś za tobą zakrzyczy: *Otoč sa!*, po prostu się *obrót* i nie szukaj podobieństwa ze słowem *otoczyć*. I kiedy młodej Słowaczce powiesz: *Podobasz mi się*, nie spodziewaj się, że uzna to ona za komplement, bo prawdopodobnie zrozumie to jako: *Jesteś do mnie podobna*. A może nawet odpowie

Ty odporný!, co znaczy, że jesteś wstręt-ny. Gdy boli gardło, Polak chwytą się za szyję, a Słowak za krk. I na odwrót, jeżeli w nocy leżeli w niewygodnej pozycji, to rano Polaka boli zeszywniała kark, a Słowaka zeszywniała šija (szyja to kark a kark to šija). Wyobrażacie sobie zatem, jaki mętnik mam w głowie, kiedy po roku spędzonym w Polsce mam rozmawiać ze znajomymi na Słowacji?!

Kiedy po raz pierwszy słyszałem polski hymn, zaskoczyła mnie melodia... Znam ją przecież bardzo dobrze: na podobną melodię śpiewa się słowacką pieśń narodową „Hej, Slováci”. Zacząłem szukać korzeni tej zgodności. Okazało się, że Mazurek Dąbrowskiego posłużył słowackiemu poecie, ewangelickiemu pro-

boszczowi Samuelowi Tomášikovi, jako podłoże muzyczne dla jego wiersza „Na Slovany” (później „Hej! Slované”) z roku 1834. Towarzyszyła ona ruchowi wszechsłowiańskiemu, kiedy w okresie Wiosny Ludów (1848) na zjeździe w Pradze stała się hymnem wszechsłowiańskim i została przetłumaczona na dziesięć słowiańskich języków (w polskiej wersji zaczynała się słowami: *Hej Słowianie, jeszcze nasza Słowian mowa żyje*). Ostatnim krajem, który do 2006 roku używał tej pieśni jako hymnu narodowego, była Jugosławia a po niej Serbia i Czarnogóra. Polski dziarski Mazurek w połączeniu ze słowackim poematem żywił zatem ideę jedności Słowian. Dziś z idei tej zostało chyba tylko rozczarowanie komunistycznym przymusowym sojuszem. Prawdopodobnie zresztą rozczarowanie to skutecznie ideę tę pogrzebało, a zamiast tego ciągle patrzymy na siebie przez pryzmat różnych uprzedzeń (historycznych, kulturowych, ekonomicznych itp.).

Słowak przekraczający granicę Polski wjeżdża do niej z różnymi przesądami wobec tego kraju. Sam jednak doświadczyłem, że podobne pretensje nie mają uzasadnienia, ale wynikają z niepełnego poznania naszych zatatrzańskich sąsiadów. Im dłużej jestem w Polsce, tym więcej szacunku nabieram dla tego kraju. *Ojczyzna*, jak ją pięknie nazywacie, chyba już nigdy nie będzie mi się wydawać obcą.

Ze słowackich kawałów: Co jest przykładem największej odwagi? Wejść do karczmy w Terchowej (miejsce urodzenia Janosika) i zawołać: *Janosik był Węgrem!* ■



fot. Paweł Rakowski SJ

CAŁY ZAANGAŻOWAŁ SIĘ W DZIEŁO OŚWIATY W POLSCE

# Grzegorz Piramowicz - człowiek idei

sch. Przemysław Gębała SJ

*Z dziecinnymi wspomnieniami moimi  
silnie się łączyła postać księdza Piramowicza,  
gdyż on pierwszej spowiedzi mnie słuchał.*

*Naprzód proboszcz w Kurowie,  
później w Międzyrzeczu,*

*jak go zapamiętałem,  
był już w wieku bardzo posunięty.*

*Stracił wzrok, ale się do tego nie chciał przyznać.*

*Listy sam zawsze pisywał i nie uważał tego,  
że kreśli niezrozumiałe hieroglify  
i że najczęściej połowa listu zostaje na stole.*

*Wzrostu niskiego, otyły, żywy, ruchliwy,  
oczy miał małe,*

*nos gruby i prosty, usta duże.*

*Życie jego poświęcone było naukom.*

Leon Dembowski, „Moje wspomnienia”



foto. Archiwum Historyczne [1]

Tak Piramowicza zapamiętał Leon Dembowski, senator, kasztelan, ojciec Edwarda – działacza Związku Narodu Polskiego, uczestnika powstania krakowskiego. W momencie śmierci Piramowicza Leon miał 12 lat.

Grzegorz Piramowicz urodził się 25 listopada 1735 roku we Lwowie w spolonizowanej rodzinie ormiańskiej. Był najstarszym z jedenaściorga dzieci Jakuba i Anny z Nikoforowiczów. W 1744 roku

rozpoczął naukę we lwowskim kolegium jezuitów – najlepszej wówczas szkole zakonnej w Polsce. Po ukończeniu kolegium i trzyletniego studium filozoficznego, wbrew woli rodziców, którzy widzieli w nim przyszłą głowę rodziny i głównego spadkobiercę rodzinnego interesu, wstąpił do Towarzystwa Jezusowego (1754). Nowicjat rozpoczął 10 sierpnia w Krakowie. Trzy lata później został wysłany do małej rezydencji jezuickiej w Jurowicach



nad Prypecią (obecnie Białoruś), gdzie pracował jako nauczyciel. W tym samym czasie wykładał poetykę w kolegium w Łucku. W 1760 wrócił do Lwowa, gdzie trzy lata później miał prymicje (23 lipca). Okres lwowski był dla Piramowicza czasem pogłębiania wiedzy, pierwszych prób literackich oraz nawiązywania ważnych kontaktów towarzyskich, m.in. z Wacławem Rzewuskim, hetmanem wielkim koronnym, kasztelanem i wojewodą krakowskim, Mateuszem Szembekiem, rektorem kolegium lwowskiego oraz rodziną Jabłonowskich i Potockich.

W 1764 roku powierzono mu wychowanie osieroconych synów kasztelana lwowskiego Józefa Potockiego oraz opiekę nad nimi w czasie 3-letniej podróży do Włoch i Francji. Podróż ta miała dla niego duże znaczenie, bo pozwoliła mu zetknąć się z europejską myślą oświeceniową. W Rzymie złożył ostatnie śluby zakonne (15 sierpnia 1769) i serdecznie zaprzyjaźnił się z Ignacym Potockim, studentem pijarskiego Collegium Nazarenum. Po roku wrócił do Lwowa, gdzie podjął pracę nauczyciela logiki. W tym czasie był również cenionym kaznodzieją kościoła katedralnego i współpracownikiem czasopisma „Zabawy Przyjemne i Pożyteczne”. Po dwóch latach wyjechał do Belgii, a następnie w 1773 (gdy Lwów był już pod panowaniem Austrii) wrócił do kraju i osiadł na stałe w Warszawie.

21 lipca 1773 papież Klemens XIV brewe *Dominus ac Redemptor* skasował zakon jezuitów. W październiku tego roku powstała Komisja Edukacji Narodowej – podległa sejmowi władza oświatowa, tworzona głównie przez członków rozwiązanego Towarzystwa Jezusowego. Niepewny swoich losów, wspierany jednak przez rodzinę Potockich Piramowicz, zaangażował się w działalność KEN – początkowo jako sekretarz, później jako pełnoprawny komisarz. „Odtąd – jak pisze Waldemar Osterloff, wybitny polski pedagog, historyk wychowania i językoznawca – dzieje Komisji i oświaty w Polsce stały się własnymi dziełami Piramowicza.”

W 1744 roku otrzymał od Ignacego Potockiego – jako formę zabezpieczenia finansowego – probostwo w Kurowie pod Puławami, dokąd wkrótce sprowadził swoją matkę oraz rodzeństwo. Dzielił swój czas między Warszawą a Kurowem, obowiązkami komisarzskimi i pracą duszpasterską.

W lutym 1775 roku został mianowany sekretarzem nowo utworzonego Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych. Od tego momentu działalność Piramowicza złączyła się ściśle z projektem reformy szkolnictwa. Jako sekretarz Towarzystwa zatroszczył się o wydanie nowatorskiego Elementarza do szkół elementarnych, którego był także współautorem. W 1781 roku spisał i ujedynocił przepisy szkolne. Stworzył jedną z pierwszych w Polsce dydaktyk, którą oparł na najbardziej postępowych naówczas metodach nauczania. Opracował podręcznik dla nauczycieli Powinności nauczyciela, w którym na nowo określił rolę szkoły i pedagoga w wychowaniu młodzieży.

26 maja 1777 roku objął probostwo w Maciejowicach. Był oddanym duszpasterzem, szczerze zainteresowanym edukacją oraz warunkami bytowymi swoich parafian. Z Maciejowicami związany był do roku 1789. Już dwa lata wcześniej (1787) ze względów zdrowotnych złożył urząd sekretarza Towarzystwa, mimo to nadal z wielkim oddaniem pracował na rzecz podniesienia poziomu kształcenia dzieci i młodzieży.

Zwycięstwo Targowicy było ciosem dla Piramowicza. Ostatnie posiedzenie Komisji Edukacji Narodowej, które odbyło się w roku 1794, zakończyło okres dynamicznych inicjatyw oświatowych. Sam Piramowicz, prześladowany przez targowiczów i uznany za politycznego wicherzyciela, został uwięziony, a następnie wygnany z Kurowa. Schronienie znalazł w Międzyrzeczu Podlaskim, gdzie mimo słabego zdrowia, do końca życia czuwał nad edukacją swoich parafian. Zmarł 14 listopada 1801 roku. Ciało złożono w podziemiach kościoła w Kurowie. ■

# Starowiejski Skarb

sch. Krzysztof Faltus SJ

Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów drogą z Rzeszowa w kierunku Sanoka na lekko porośniętym drzewami wzgórzu zobaczymy dwie sięgające ponad korony drzew wieże starowiejskiej bazyliki. Proponuję na chwilę przystanąć, by przyrzec się z bliska temu niezwykle miejscu i choć trochę poznać tajemnice skrywane w grubych klasztornych murach, usłyszeć legendy, które przekazują sobie wraz z szumem wiatru drzewa rosnące nieopodal, by zakosztować słodczy odoczynku i dać się porwać wirowi wydarzeń sprzed kilkuset lat.

Stara Wieś to dla każdego jezuitę z pewnością jedno z najważniejszych miejsc w Polsce. W tej małej miejscowości na Podkarpaciu, położonej około 50 km od Rzeszowa w kierunku Sanoka, wzięła początek historia odrodzonego po kasacie Towarzystwa. Tutaj od 1852 roku nieprzerwanie formowani są nowicjusze jezuitę przygotowujący się do złożenia pierwszych ślubów zakonnych i służby na niwie Bożej. Kolegium starowiejskie jest najstarszym w Europie nowicjatem Towarzystwa. Każdy ze współbraci z południowej polskiej prowincji odnajduje w swoim życiorysie przynajmniej dwa lata spędzone w murach starowiejskiego kolegium, stanowiące początek jego drogi zakonnej. Młodzi nowicjusze, oprócz troski ojca magistra, doświadczają tutaj szczególnej opieki Matki Jezusa, czczonej w bazylice starowiejskiej w cudownej Ikonie Jej Zaśnięcia i Wniebowzięcia. Temu miejscu pragnę poświęcić kilka słów, zapoznając Miłych Czytelników z jego historią i niezwykłością.

Historia Starej Wsi sięga roku 1359, kiedy to pojawiają się pierwsze wzmianki o lokacji

wsi Brzozowe nad Stobnicą. Najważniejszy dla nas okres w historii Starej Wsi rozpoczyna się w roku 1821, kiedy to po powrocie Towarzystwa Jezusowego powracający z Białej Rusi Ojcowie otrzymują pod opiekę popauliński klasztor. Wykluczając czteroletnią przerwę w latach 1848-1852, jezuici pełnią tutaj swoją misję, sprawując opiekę nad bazyliką i szerząc kult Maryi w starowiejskiej Ikonie. Kompleks starowiejski nie jest więc miejscem należącym od swych początków do jezuitów, lecz niejako odziedziczonym w spadku po zakonnie paulinów, wygnanych stąd w 1786 r., w czasie kasaty zakonów kontemplacyjnych na terenie Cesarstwa Austriackiego.

Nowi gospodarze tego miejsca zostali murowaną bazylikę w stylu barokowym z Cudowną Ikoną Maryi w ołtarzu głównym oraz jednopiętrowy dom zakonny przylegający do kościoła i tworzący wraz z nim kwadrat z wewnętrznym wirydarzem. Sprawujący opiekę nad sanktuarium zakonnicy rozpoczęli odnawianie i szerzenie kultu Matki Zbawiciela przedstawionej w starowiejskiej Ikonie, przybyłej na tę ziemię z Węgier w XIV wieku. Obecność Maryi w starowiejskiej bazylice okrywa legenda cudownych wydarzeń. Mianowicie, pewnego razu na rozłożystym dębie rosnącym nieopodal wzgórza, na którym obecnie znajduje się klasztor, pojawiła się Ikona Matki Bożej, będąca na stałe w miejscowości Homonny (Humenne). Obraz został odwieziony przez mieszkańców Starej Wsi na miejsce swego stałego pobytu, po czym po pewnym czasie pojawił się u nich ponownie. Zdarzenie powtórzyło się dwukrotnie i przy trzeciej próbie zwrócenia Ikony konie ciągnące wóz z wizerunkiem Maryi



stały za wsią, odmawiając woźnicom posłuszeństwa. Znak ten odczytano jako wolę pozostania Maryi pośród ludności Starej Wsi. Na pamiątkę tego wydarzenia w miejscu, gdzie rósł dąb, wzniesiono murowaną kapliczkę, nad którą pieczę sprawują ss. służebniczki starowiejskie.

Pierwotna Ikona wkrótce uległa zniszczeniu w płomieniach, które strawiły drewnianą kapliczkę wystawioną dla Maryi. Ikona znajdująca się obecnie w starowiejskim

nie wzniesienia dużej, murowanej świątyni (1730-1760) i sprawowania pieczy nad kultem Naszej Pani. Po wygnaniu paulinów ze Starej Wsi Ikona została przeniesiona do kościoła w pobliskim Brzozowie. Do bazyliki powróciła uroczystie wraz z wracającymi po przywróceniu zakonu jezuitami z Białej Rusi. Dzięki staraniom jezuitów w 1877 roku na starowiejską Ikonę zostały nałożone korony papieskie. Od tamtego czasu Maryja nieustannie opiekuje się ziemią brzozowską, czuwając w starowiejskim



foto. Marek Roston SJ

skim sanktuarium pochodzi z pierwszej ćwierci XIV wieku a powstała prawdopodobnie w szkole mistrza Wita Stwosza. Na deskach lipowych przenikają się dwa style – późny gotyk i wczesny renesans. Obraz przedstawia dwie sceny z życia Matki Jezusa. W dolnej części widzimy Maryję w otoczeniu dwunastu Apostołów usypiającą na kolanach św. Jana – umiłowanego ucznia Chrystusa. Natomiast górna, mniejsza część, przedstawia scenę nałożenia korony na skronie Maryi przez Chrystusa Króla. To właśnie obecność Maryi w Starej Wsi przyciągnęła tutaj w XVIII wieku zakon paulinów, którego członkowie otrzymali od ówczesnego biskupa polece-

Wizerunku, czczona jako Matka Miłosierdzia. W 1968 roku miał miejsce zamach na święty Obraz Matki Bożej. Z polecenia władz komunistycznych podłożono ogień, który prawie całkowicie strawił Ikonę. Zwęglone fragmenty desek i ramy obrazu przechowywane są w skarbcu kolegium. W 1972 roku kopię Ikony, wiernie odtworzoną przez konserwatora zabytków, p. Marię Niedzielską, rekononowano koronami z pierwszej koronacji, które ocalały po pożarze. Sanktuarium starowiejskie jest miejscem pielgrzymek z całego Podkarpacia, Słowacji i Węgier.

Oprócz Ikony Matki Bożej, w Starowiejskiej Bazylice znajduje się osiem ołtarzy



fot. Przemysław Fistor

odpustowych, umieszczonych w nawach bocznych bogato ozdobionych ornamentami, stanowiących pamiątkę po pierwszych gospodarzach tego miejsca, paulinach. Od prawej strony – patrząc od strony prezbiterium – widzimy kolejno ołtarze: św. Krzyża, św. Michała Archanioła, św. Kazimierza, św. Rozalii, św. Tekli, św. Augustyna, św. Pawła Pustelnika oraz św. Teofila. Całość uzupełniają dwie kaplice poświęcone św. Józefowi i św. Franciszkowi Ksaweremu. Z kaplicą św. Franciszka związana jest legenda, według której Święty sam przepowiedział przybycie jezuitów do Starej Wsi. Tuż przed wygnaniem paulinów ze Starej Wsi stwóżeńi wierni wraz z paulińskimi zakonnikami modlili się w kaplicy Misjonarza, w której dał się słyszeć głos: „Nie trwóćcie się, moi współbracia wnet tutaj przybędą”. Niedługo po opuszczeniu klasztoru przez paulinów Świętemu zrabowano suknie przyozdabiające jego postać, które zostały przetopione na oręż dla wojsk austriackich. Przepowiednia św. Franciszka spełniła się 35 lat później. Będąc w staro-

wiejskiej bazylice, nie można przeoczyć kaplicy św. Andrzeja Boboli, znajdującej się po prawej stronie, przy prezbiterium. Ściany kaplicy zdobią gipsowe stiuki przedstawiające sceny z męczeństwa Misjonarza Rusi. W głównym ołtarzu widzimy Andrzeja Bobolę, który po trudach męczeństwa jest przyjmowany do chwały Jezusa, dla którego poświęcił swe życie. W tle widzimy sanktuarium starowiejskie oraz kapliczkę w Janowie Poleskim, miejscu męczeństwa Świętego. W kaplicy św. Andrzeja w każdy czwartek nowicjusze uczestniczą w Eucharystii sprawowanej przed willowym wyciecznikiem. Czwartki bowiem są w nowicjacie dniami poświęconymi na wypoczynek w pobliskiej willi, należącej do kolegium.

W całym kompleksie klasztorным Starej Wsi na szczególną uwagę zasługuje kaplica domowa kolegium. Znajduje się ona nad zakrystią bazyliki. Pierwotnie w tym miejscu mieściło się oratorium paulińskie, z oknami do prezbiterium. Na potrzeby nowicjatu została ona zmodyfikowana przez jezuitów. Okna wychodzące na prezbiterium zostały zamurowane, a kapliczna nawa przedłużona. Po przebudowach kaplica otrzymała wystrój neorenesansowy z bogato rzeźbionym w drewnie sufitem. Sufit składa się z kasetonów, we wnętrzach których znajdują się rozety zdobione motywami roślinnymi. Kiedy dobrze wpatrzymy się w sufit kaplicy, spostrzeżemy, iż każda z rozet umieszczonych w kasetonach ma inne ornamenty. W jego centralnym miejscu nad modłącymi się znajduje się złoty herb Towarzystwa Jezusowego oraz postacie czterech dobroczyńców kaplicy i kolegium. Autorami tego wspaniałego arcydzieła są rzeźbiarze, jezuitcy bracia: Jan Klimek oraz Antoni Krok. Na ścianach, nad bogatymi roślinnymi ornamentami górują medaliony świętych Towarzystwa autorstwa krakowskiego rzeźbiarza Kazimierza Chodzińskiego. W kaplicy znajduje się ołtarz poświęcony św. Stanisławowi Kostce. Na specjalnym tronie, nad tabernakulum stoi figurka Matki Bożej z Dzieciątkiem, przywieziona przez o. Mikołaja



Łęczyckiego z Loretto. Figurka pochodzi z XVII wieku, a towarzyszyła Ojcom Białoruskim w ciężkich chwilach kasaty Towarzystwa, potem wraz z nimi przybyła do starowiejskiego kolegium. Maryja wyobrażona w tej figurce towarzyszyła wielu pokoleniom nowicjuszy kształcących się w Starej Wsi i nie tylko. Dlatego, będąc ich niezawodną Patronką, zyskała miano Matki Bożej Nowicjackiej. Maryja, Patronka nowicjuszy, jak każda kobieta, posiada w swej garderobie wiele przepięknych sukienek, w które jest przyodziewana zgodnie z liturgicznym porządkiem świąt kościelnych i wspomnień. Wieczorem nowicjusz opiekujący się kaplicą przyozdabia figurkę suknią w kolorze szat liturgicznych następnego dnia. Sukienki są darami wielu dobroczyńców domu, między innymi samych jezuitów, i stanowią swoiste wota dla Matki Jezusowej. Po lewej stronie ołtarza znajduje się bogato zdobiony relikwiarz z żebrem św. Stanisława Kostki, umieszczonym w srebrnej trumienice podtrzymywanej przez dwa rzeźbione w drewnie posrebrzane anioły autorstwa Karola Hukana, artysty, który zaprojektował wystrój bazyliki Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie.

Natomiast po prawej stronie, obok bogato rzeźbionej w ciemnym drewnie kredensji, znajduje się gablota z kielichami mszalnymi oraz relikwiarzami świętych Towarzystwa, w której między innymi znajdują się koronka św. Franciszka Ksawerego oraz Filipa Nereusza. Wychodząc z kaplicy, przekraczamy potężny rzeźbiony portyk zwieńczony rzeźbą głowy o. Michała Andrzejczaka SJ, rektora kolegium w Starej Wsi, inicjatora prac i fundatora kaplicy domowej.

Starowiejskie kolegium kryje w swych murach jeszcze wiele innych skarbów. Nie sposób jest opisać je wszystkie ze szczegółami. Fakt, iż w tym miejscu gromadzone były pamiątki przywożone przez jezuitów z całego świata, z krajów misyjnych i nie tylko, czyni z tego miejsca niepowtarzalny skarbiec. Aby opowiedzieć choćby kilka słów o wszystkich zgromadzonych tutaj przez trzy ostatnie stulecia skarbach i pamiątkach, trzeba z pewnością poświęcić o wiele więcej miejsca niż pozwalają na to ograniczone ramy prasowego artykułu. Mam jednak nadzieję, że ten krótki szkic zachęci Drogich Czytelników do odwiedzenia i zobaczenia tego wszystkiego na własne oczy. ■



foto. Wojciech Morawski S

# Ordery Stolicy Apostolskiej

o. Stanisław Groń SJ

Starożytność bez orderu, ale z odznaczeniami

W kulturze greckiej i rzymskiej nie istniały ordery, były jednak nagrody. I tak, na cześć zasłużonego greckiego obywatela wygłaszano mowę pochwalną lub stawiano pomnik. W Rzymie nagradzano różnie; wszystko zależało od pozycji społecznej nagradzanego i od czynu, jakiego dokonał. Za zwycięstwo militarne o niedużym znaczeniu dowódcę odznaczano *Wieńcem z gałązek mirtowych*. Najwyższym odznaczeniem był *Wieniec triumfalny* przyznawany za znaczące zwycięstwo w wojnie. Zgodę na to odznaczenie wyrażał Senat, a uhonorowanemu pozwalano na triumfalny wjazd do Rzymu. W dowód uznania zasług militarnych wielkiemu zwycięzcy budowano łuk triumfalny. Najbardziej cenioną przez Rzymian nagrodą był jednak wieniec spleciony z gałązek dębowych, zwany *Wieńcem obywatelskim*, przyznawany za ocalenie życia współobywatela.

Okres nowożytny z orderem

Na powstanie orderów miały wpływ bardzo popularne średniowieczne zakony rycerskie o charakterze militarno-religijnym, które powstały dla obrony wiary i chrystianizacji ludów. Większość zakonów rycerskich powstała w okresie wypraw krzyżowych, by zapewnić należytą opiekę pielgrzymom przybyłym do Jerozolimy. Także różnego rodzaju związki, stowarzyszenia, bractwa, szpitale, przytułki, organizacje rzemiosła wojennego itd. miały wpływ na kształtowanie się orderów. Rycerze średniowiecznych zakonów na swych zbrojach i płaszczach umieszczali określone emblematy wyróżniające ich, np. godła rodowe, ale przede wszystkim posiadali symbole określające ich przynależność do danej wspólnoty zakonnej lub rycerskiej.



NAJWIŻSZY ORDER CHRYSYTA

Zanim ordery stały się symbolem wyróżnienia za zasługi, w pierw były oznakami przynależności do zakonów rycerskich. Na płaszczach rycerzy widniały wyhaftowane symbole zakonne. Pierwsi uhonorowani orderami wywodzili się z takich właśnie zakonów (templariusze, joannici, kawalerowie maltańscy, Krzyżacy, bożogrobowcy, Rycerze Teutońscy itd.). Elementem podstawowym orderu był krzyż. Oznaki wykonane były ze szlachetnych kruszców, emaliowane, nierzadko wysadzane drogiemi kamieniami. Zawieszano je na łańcuchach, wstęgach i noszono na szyi lub prze-

wieszano przez ramię. Przełożeni zakonów, a potem panujący władcy ustanawiali ordery i nagradzali nimi według zasług. Nadawano prawa szlacheckie, jeśli odznaczeni ich nie posiadali, i w ten sposób odznaczeni tworzyli grono kawalerów (czasem też dam) danego orderu. Do dnia dzisiejszego niektóre ordery zachowały charakter rycerski i zakonny.

## Dewiza orderowa i jego funkcja

Do starej tradycji należy umieszczanie na insygniach orderowych dewiz, nierozzerwalnie związanych z danym wyróżnieniem, by wspomnieć polski order w dawnej Rzeczypospolitej: Order Świętego Stanisława *Praemiando incitat* (Nagradzając zachęcając, lub duński Order Słonia *Magnanimi pretium – Nagroda wielkodusznemu*). Niektóre ordery posiadają inskrypcje pisane po łacinie lub grecku, wyrażające dewizę orderu. Ordery zawsze obliżowały uhonorowanego do wiernego przestrzegania zasad zawartych w dewizach orderowych. Z orderem związane były też specjalne ceremonialne stroje orderowe, np. płaszcze rycerskie i mundury. Pojawiły się one w średniowieczu i z czasem weszły do tradycji. Ich wzór zapisano w niektórych statutach orderowych. Ordery papieskie i brytyjskie do dziś zachowały specjalne stroje orderowe. Order był i jest w dyplomacji kościelnej i świeckiej zręczną formą zjednywania możliwych tego świata, wyrazem podkreślenia zasług, a jednocześnie formą rewanżu. Ordery są także świadectwem historii i relikami przeszłości, bowiem czasem nie istnieją już państwa ani władcy, którzy je przyznawali. Niektóre z orderów przez nich ustanowione istnieją nadal, sprawiając zaszczyt uhonorowanym.

## Coś więcej niż dzieło sztuki

Ordery są też wspaniałymi dziełami sztuki jubilerskiej i rzemieślniczej często treści religijnej, wyrażającymi ducha patriotyzmu i uczucia. Składają się z dwóch podstawo-



ORDER ŚW. SYLWESTRA

wych części: orderu i zapinki, czasami też z przewieszki pod orderem (np. Order Świętego Jerzego). Ordery chrześcijańskie są zdobione barwnymi godłami o symbolicznym i rycerskim znaczeniu. Krzyż o kształcie greckim lub łacińskim jest najbardziej rozpowszechnioną ich formą. Często pośrodku krzyża (w wieńcu) występują medaliony z sylwetkami świętych patronów. Przestrzeń między ramionami krzyża nierzadko wypełniają motywy roślinne lub zwierzęce (lilie, lwy, orły, główki serafinów).

Najstarszymi w świecie są ordery rycerskie, które do dziś zachowały charakter religijny. Stosowany tytuł „kawalera orderu” był dawniej jednoznaczny z terminem rycerz, dzisiaj używa się tego terminu dla osoby odznaczonej orderem.

## Watykańskie ordery i ich geneza

Ordery Stolicy Apostolskiej mają swą genezę w średniowiecznych oznaczeniach zakonów rycerskich, czyli w emblematkach. Dawne emblematy zakonno-rycerskie z bie-





GWIAZDA ORDERU ŚW. GRZEGORZA WIELKIEGO

giem czasu zmieniały swój charakter na symbol wyróżnienia. Papieskie ordery rycerskie należą do najstarszych w Europie. To właśnie z odznak, emblematów metalowych noszonych na zbroi i z tekstylnych znaków na płaszczu rycersko-zakonnym powstały ordery papieskie. Stały za tym decyzje papieży, którzy mocą swoich dokumentów (bulli, brewe) ustanawiali ordery i na przestrzeni wieków je modyfikowali i przekształcali. Decydujący był czas po wyprawach krzyżowych i rekonkwiecie. Wówczas zakony rycerskie o charakterze militarno-religijnym straciły na znaczeniu. Również rewolucja francuska podcięła religijność leżącą u źródła tych formacji. W takim klimacie szybko zachodzących zmian w świecie i w Kościele podjęto reformę odznaczeń papieskich. Nowożytny ordery papieskie mają charakter wyłącznie honorowy. Nadano im odpowiednie statuty i opracowano kryteria ich przyznawania. Wymóg religijności kandydata jest bardzo ważny, a nawet wyeksponowany. U osób wierzących nagradza się szczególne zasługi na rzecz wspólnoty Kościoła. Nie oznacza to jednak, aby osoba innego wyznania nie mogła być nagrodzona przynajmniej niektórymi papieskimi odznaczeniami. Tak się zdarzało w historii i zdarza obecnie. W XIX wieku utrwaliło się pięć nowożytnych orderów papieskich. Oto ich prezentacja:

Najwyższy Order Chrystusa (Ordine Supremo del Cristo), jest Najważniejszym i najstarszym orderem rycerskim Stolicy Apostolskiej. W 1319 roku w Portugalii został założony zakon Chrystusowy z byłych templariuszy. Zakonnicy nosili białe stroje i posiadali regułę cysterską. Jego znakiem był srebrny krzyż łańciski umieszczony na czerwonym krzyżu świątynnym. Zakon został zatwierdzony przez papieża Jana XXII w 1319 roku. W roku 1551 król portugalski Jan III podporządkował zakon Koronie Portugalskiej. Tymczasem papież mianował kawalerów tego zakonu, tworząc w ten sposób jego niezależną gałąź o charakterze honorowym. W 1905 roku Pius X, wydając brewe *Multum ad excitandos*, ostatecznie uporządkował odznaczenie i uczynił je najważniejszym z papieskich, nadając mu tytuł „Najwyższe odznaczenie”. Jest to order jednoklasowy. Ma dwie formy, tj. Wielką Komandorię z Gwiazdą na czerwonej wstędze lub Łańcuch Orderowy. Od 1966 roku, decyzją papieża Pawła VI, zarezerwowany jest wyłącznie dla katolickich monarchów i prezydentów. Przyznaje się go za szczególne zasługi dla Stolicy Apostolskiej.

Order Złotej Ostrogi, zwany też Orderem Złotej Milicji (Ordine della Milizia Aurata o dello Sperone d'Oro), zajmuje drugie co do ważności miejsce wśród papieskich orderów. Jego historia sięga XIV wieku. Krzyż komandorski z gwiazdą nosiła osoba tytułowana kawalerem. Mógł go otrzymać tylko ten, kto miał tytuł hrabiego palatyńskiego. Po reformie z 1841 r. stał się orderem dwuklasowym, w których to klasach obowiązywał limit kawalerów: 300 osób w klasie pierwszej, a 150 komandorów w klasie drugiej. W 1905 roku papież Pius X odnowił order, tworząc dwa odrębne ordery. Order Złotej Ostrogi zajął drugie miejsce w hierarchii odznaczeń watykańskich i jest nadawany tylko szefom rządu. Drugi z nich: Order Świętego Sylwestra został umieszczony jako ostatni (piąty) wśród watykańskich odznaczeń. Obecnie Order Złotej Ostrogi ma jedną klasę kawalerów, których nie może być więcej niż 100. Krzyż orderu jest zawieszony



na zawieszce przedstawiającej trofea wojenne, a do jego noszenia używa się ozdobnego, złotego łańcucha zamiast wstęgi.

**Order Piano** – zwany także Orderem Piusa IX (Ordine Piano). Ustanowiony został przez papieża Piusa IV w 1560 roku i zreformowany przez Piusa IX dnia 17 czerwca 1847 roku. Jest trzecim co do ważności w orderach papieskich. Posiada formę osmiopromiennej gwiazdy. Do 1939 roku przyznawany był osobom pochodzenia szlacheckiego. Uhonorowany tym orderem nieszlachcic równocześnie otrzymywał szlachectwo. Order w formie gwiazdy podkreślał, że kawalerem mógł zostać również niekatolik. Przyznawany za zasługi dla Kościoła. W 1939 roku papież Pius XII ustanowił złoty łańcuch dla Kawalerów Wielkiego Krzyża i zniósł możliwość uzyskiwania szlachectwa przy jego nadaniu. Obecnie jest on przyznawany wszystkim monarchom i głowom państw, odbywającym oficjalną wizytę w Watykanie. Wstęga orderu ma kolor błękitny z dwoma czerwonymi pasami na brzegach. W uroczystościach kawalerów orderu obowiązuje błękitny uniform.

**Order Świętego Grzegorza Wielkiego** (Ordine di San Gregorio Magno). Czwararty z orderów papieskich został ustanowiony przez papieża Grzegorza XVI dnia 1 września 1831 roku. Początkowo był to order czteroklasowy, honorujący tak obywateli Państwa Kościelnego, jak i cudzoziemców bez względu na ich pochodzenie społeczne, sprawowane urzędy lub godności, za zasługi i zaangażowanie dla Kościoła katolickiego. Po reformie w 1843 roku order jest trzyklasowy, a wszyscy członkowie zostali podzieleni na dwie grupy w zależności od zasług: cywilnych lub wojskowych. Ma to swoje odbicie w wyglądzie odznaczeń. W klasie cywilnej krzyż zawieszony jest na złotym wieńcu z liści dębu, a w klasie wojskowej zawieszony jest na zawieszce ze złotymi trofeami wojskowymi. Wstęga orderu ma kolor czerwony z żółtymi pasami biegnącymi po obu jej brzegach. Uroczysty uniform jest barwy zielonej. Kawalerowi orderu przysługuje

prawo do noszenia: zdobnego stroju, kapelusza, wstęgi, szpady. Dewizą orderu jest sentencja: *Pro Deo et Principe (Za Boga i Władcę)*. Nazwa orderu związana jest z osobą papieża Grzegorza I (590-604), któremu nadano przydomek „Wielki”.

Dnia 26 października 2007 r. we Lwowie w imieniu Benedykta XVI abp metropolita Marian Jaworski uhonorował nim prof. Ryszarda Brykowskiego, historyka sztuki z Instytutu Sztuki PAN, za ratowanie zabytków sakralnych na Ukrainie.

**Order Świętego Sylwestra** (Ordine di San Silvestro Papa). Ustanowiło go brewe papieża Grzegorza XVI (31 X 1841 roku) dla uczczenia papieża Sylwestra I. W latach 1841-1905 order ten był połączony z Orderem Złotej Ostrogi. Po 1905 roku istnieje jako samodzielny order, będąc piątym w hierarchii. Otrzymując order, otrzymuje się automatycznie członkostwo w Zakonie Rycerzy Świętego Sylwestra. Order przyznawany jest za wybitne zasługi na rzecz Pontyfikatu oraz za wielkie osiągnięcia na polu nauki i sztuki. Mogą go otrzymać świeccy katolicy oraz niekatolicy (chrześcijanie, np. protestanci, prawosławni, a także niechrześcijanie). Odznaka orderowa ma postać złotego emaliowanego krzyża maltańskiego. Na awersie widnieje wizerunek św. Sylwestra papieża, a na rewersie napis: 1841 Gregorius XVI restituit. Papież Pius X wprowadził jego podział na cztery klasy: Kawalerów Wielkiego Krzyża, Komandorów z Gwiazdą, Komandorów i Kawalerów. Wstęga orderowa jest czarna z trzema czerwonymi pasami. Dwa czerwone pasy biegną po brzegach i jeden pośrodku. Uniform obowiązujący w czasie uroczystości jest koloru czarnego. Order otrzymali między innymi: rektor Politechniki Wrocławskiej prof. Tadeusz Luty (od papieża Benedykta XVI). W Krakowie w imieniu papieża, kardynał Stanisław Dziwisz wręczył go znanemu i cenionemu krakowskiemu animatorowi życia muzycznego, dyrygentowi Wiesławowi Delimatowi (13 IV 2007 roku). ■

## Drodzy Czytelnicy,

To już 34. numer naszego czasopisma. Jak zwykle prosimy Was, abyście przekazywali i udostępniali je swoim krewnym, przyjaciołom, znajomym... Jeżeli chcielibyście, aby „Jezuici – Nasze Wiadomości” docierało do nich na stałe, prześlijcie do redakcji ich adresy. Nasze pismo jest rozsyłane nieodpłatnie. Jeżeli zaś pragną Państwo finansowo wesprzeć kształcenie naszych kleryków i naszą działalność apostołską, możecie przesłać ofiary na podane poniżej konto. Wyrażamy wdzięczność za wszelkie ofiary i zapewniamy o naszej modlitwie.

Prowincja Polski Południowej TJ

Krąg Przyjaciół Jezuitów

Bank PKO SA III/O Kraków

swift: PKO PPLPW

PL 61124022941111000037088947



### Redakcja

Jezuici – Nasze Wiadomości  
 31-501 Kraków, ul. Kopernika 26  
 e-mail: [naszewiadomosci@jezuici.pl](mailto:naszewiadomosci@jezuici.pl)

sch. Sebastian Masłowski SJ  
 opiekun Kręgu Przyjaciół Jezuitów  
 30-961 Kraków 1, skr. p. 128  
 tel. 607 227 227  
 e-mail: [sebastian@jesuits.net](mailto:sebastian@jesuits.net)

**J**ezuici Nasze Wiadomości is a magazine edited by young Polish Jesuits, addressed to our friends and partners. Via this magazine we want to show the diversity of works in which Jesuits participate in Poland.

The first text is a thorough interview of Marek Rosłoń SJ with Fr. Leszek Mądrzyk SJ the director of the Ignatian Centre of the Spiritual Formation – in which, in the special way – the cooperation with lay is stressed. Next text, by Kamil Hewelt SJ describes the important Jesuit library in Cracow. In the photograph we can see a new building in the All Saints Square in Cracow, designed by the famous Krzysztof Igarden, called the passage of Stanisław Wyspiański.

In the next part we can read reports from important events: parents meeting, which took place in Częstochowa; next one relates the pilgrimage with tracks of saint Stanisław Kostka and finally the report from Summer English Course – July 2008, which took place in Cracow. There's also a text about EJIF – the annual meeting of European Jesuits during the formation. Than we have two text: first is about 5<sup>th</sup> Ignatian Youth Meeting which takes place in the Stara Wieś every year, and second about 15<sup>th</sup> anniversary of the Angelus Silesius House of Meetings in Wrocław.

Texts follow after events showed our work among students of our college Ignatianum (sch. Zbigniew Szulczyk SJ) and our spirituality and its diversity resulting from Spiritual Exercises, by Jakub Garčár SJ.

Jezuici Nasze Wiadomości is also a space for essays about our interest: sch. Paweł Rakowski SJ in his text “The Meeting” described the works of the wonderful Polish journalist and writer Ryszard Kapuściński; sch. Wojciech Werner SJ wrote about problems with the prayer among religious, and Jaroslav Mudroň SJ in very funny way described his impressions as foreigner who comes to Poland for studies.

Last but not least: we would like to present Grzegorz Piramowicz SJ, the famous Jesuit, who coordinated works on Polish grammar, text about basilica in Stara Wieś - the wonderful pearl of Jesuit architecture in Poland, and finally history of Vatican orders by Stanisław Groń SJ.

# 6 miliardów ludzi

Tylko co szósty słyszał o Jezusie.

Reszta czeka na Ciebie.

Jezuici



[www.jezuici.pl/powolania](http://www.jezuici.pl/powolania)

kontakt:

o. Sławek Patajan SJ (Gdynia) // 0505373092 // [paw@jezuici.pl](mailto:paw@jezuici.pl)  
o. Andrzej Migacz SJ (Kraków) // 0608585059 // [paw.krakow@jezuici.pl](mailto:paw.krakow@jezuici.pl)